



Caroline Anderson

Śmieszna historia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Kurza stopa, gdzie ja właściwie jestem...

Uchylił szybę i podmuch istic arktycznego wiatru uderzył go prosto w twarz. Osłonił oczy, wypatrując w zawiei przydrożnego znaku. Znak, owszem, był, ale tak przysypany śniegiem, że zupełnie nieczytelny. Śnieg zacinał z ukosa i kładł się na każdej napotkanej powierzchni, mimo to Sam był prawie pewien, że nie pobiłdził.

Nacisnął przycisk i szyba bezgłośnie podjechała w górę, odcinając go od wyjącego wiatru. Strzepnął śnieg ze swetra i westchnął. No cóż, zawsze można wysiąść, chociaż byłoby to równie przyjemne doznanie, jak usuwanie zęba. Cudownie, po prostu cudownie. Wyłączył magnetofon i poszukał w radiu lokalnej prognozy pogody na najbliższe godziny, ale niczego nie znalazł, oparł się więc wygodnie i słuchał Verdiego. Postanowił poczekać, aż śnieżyca ucichnie. Przesiedział tak mniej więcej pół godziny, ale przez ten czas zrobiło się prawie ciemno, a przenikliwy wiatr wciąż nanosił nowy śnieg. Równie dobrze można było jechać.

Ruszył, wypróbowując po raz pierwszy napęd na cztery koła. Urządzenie na szczęście działało. Uśmiechnął się smętnie. Kupił wóz z napędem na cztery koła, ponieważ miał już dosyć grzęźnięcia na budowach, mimo że w większości wypadków udawało się znaleźć jakieś płaskie kamienie czy bloki i wyjechać na twardą nawierzchnię. Tutaj natomiast... tutaj mógł liczyć jedynie na wytrzymałość auta i

choć chwilowo zdało egzamin, zaczął poważnie wątpić w to, że jeszcze dziś uda mu się cało i zdrowo dojechać do farmy dziadków.

Jechać można było jedynie bardzo wolno, gdyż wiatr zwiewał na szosę śnieg z pola po prawej stronie. Szybszą jazdę umożliwił dopiero żywopłot. Nareszcie jakiś postęp. Z lewej mignęły światła małej farmy - kilka krytych czerwoną dachówką zabudowań gospodarczych z cegły i kamienia obok pamiętającego lepsze czasy domku. Nareszcie oaza ciepła i człowieczeństwa w tym jakże nieludzkim i niegościnnym krajobrazie! Zostawił przytulne domostwo za sobą i od razu pochłonęła go niesamowita, groźna ciemność.

Zadrżał, porażony nieprzyjemnym uczuciem samotności. Dziwne. Miał po uszy ludzi, tego tłumu pieczeniarzy, pochlebców i idiotów z ich pretensjonalnymi pomysłami i brakiem wyczucia, co można, a czego nie da się zrobić z ich domami. Ludzi chwiejnych, którzy nie potrafili podjąć żadnej decyzji. To przez nich nie mógł wyrwać się z Londynu wcześniej. Dlaczego zatem teraz, gdy nikt mu już nie przeszkadzał, czuł się taki osamotniony?

Skrecając, rzucił tęskne spojrzenie w lusterko, w którym widział jeszcze małą farmę, i nagle wpadł w zaspę przy końcu ogrodzenia. Prawie zarył nosem w kierownicę i poczuł na piersi miażdżący ucisk pasa bezpieczeństwa. Odchylił się i z nienawiścią spojrzał na górę śniegu przed sobą. Mogło się skończyć gorzej, pomyślał. Powinien być wdzięczny losowi. W końcu nic się nie stało, samochód ma napęd na cztery koła. Nie ma sprawy. Włączył napęd i... Kłops, nic z tego.

Świadom porażki, słuchał przez chwilę ryku silnika. Samochód

tkwił w śniegu po przednią szybę. Od strony kierowcy nie można już było otworzyć drzwi. Jeszcze raz spróbował się wycofać - nic. Potem drugi, trzeci - to samo. Po kilku daremnych próbach musiał pogodzić się z faktem, że nie da rady. Z napędem na cztery koła czy bez - był uwięziony. Co robić? Może zwrócić się o pomoc do farmera z tamtego przytulnego obejścia? Wyciągnąłby go swoim traktorem, a gdyby się nie udało, może pozwoliliby mu zanoć, kto wie...

Diabli nadali! Zgasił silnik i przecisnął się na fotel pasażera. Nie było to proste, bo nogi miał długie, i mało brakowało, a zawadziłby o ręczny hamulec. Klnąc na czym świat stoi, wysiadł... prosto w kopny śnieg. W jednej sekundzie uświadomił sobie, że do farmy dojdzie w przemoczonych butach i na zlodowaciałych nogach, ale było już za późno, żeby się tym przejmować.

Zatrzasnął drzwiczki, otworzył bagażnik, wyjął palto i szybko wsunął ręce w rękawy. Brr! Ale zimno... Postawił kołnierz, osłaniając się przed porywistym wiatrem, wtulił głowę w ramiona i ruszył w kierunku farmy. Już zza szyby samochodu wydała mu się sympatycznie przytulna, a co dopiero teraz! I wszystko byłoby bardzo pięknie, gdyby dokładnie w chwili, gdy wszedł na podwórze, nie pogasły wszystkie światła.

Jemima gonila resztkami sił. Ziąb był straszny, padał śnieg, spierzchnięte ręce krwawiły i na dodatek jedna z krów, Daisy, po raz kolejny miała zapalenie wymienia.

Szosa ktoś jechał. O wiele za szybko. Jakiś bubek, któremu się

wydaje, że mu wszystko wolno. Uniosła głowę, nasłuchując. Przy końcu ogrodzenia, przy żywopłocie, zrobiła się zaspą, że hej... Łup! Wkopał się, i bardzo dobrze. Westchnęła ciężko. Będzie, oczywiście, chciał, żeby go wyciągnąć. Tak by należało, naturalnie, tylko że ciągnik się popsuł. Słuchała jednym uchem warkotu samochodu, usiłującego wydobyć się z zasy, martwiąc się jednocześnie chorobą krowy.

- Biedna ty, biedna - szeptała łagodnie, smarując maścią zaczerwienione miejsca.

Musiała wydoić ją ręcznie, oszczędzając chorą część wymienia. Czynność ta okazała się jednak trudna dla nich obu, gdyż Daisy starała się kopnąć swoją wybawicielkę.

- Wdzięczność nie jest twoją mocną stroną, co, kochana? - jęknęła Jemima po zainkasowaniu kolejnego ciosu. - Spokojnie, kochanie, dobra dziewczynka. No, już po wszystkim.

Wyprostowała się, masując napięty kark.

Warkot ustał. Lada moment jakiś mieszczuch wypadnie na paluszkach zza obory i pokornie poprosi o pomoc... Raptem zgasło światło i wszystko pograżyło się w kompletnych ciemnościach. A niech to szlag! Jeszcze tego brakowało!

Odczekała chwilę, oswajając się z ciemnością, a potem podeszła do Bluebell, zdjęła z wymienia nie działającą już elektryczną dojarkę i odłożyła ją na bok. Włączą zaraz prąd? Może tak, a może nie.

Do licha! Kolejna awaria prądu, zwłaszcza w porze dojenia, była paskudną niedogodnością. Jemima rozmawiała wielokrotnie z

zakładem energetycznym na temat doprowadzenia do farmy dodatkowej linii, ale nie raczyli się tym zająć. Kość niezgody stanowiło drzewo - uschnięty wysoki dąb, którego gałęzie wplątały się w przewody. Ilekroć silniej powiało, zrywały się druty. W elektrowni powiedziano, że nowej linii nie założą, póki drzewo nie zostanie ścięte, a to nie leży w ich gestii. Sprawą musi się zająć właściciel gruntu. Problem polegał na tym, że to ona była właścicielką. Umówiła się wprawdzie na spotkanie z przedstawicielami odpowiedniej firmy, lecz rozmowy spęłżyły na niczym. Jemima po prostu nie było stać na wydanie kilkuset funtów na coś tak trywialnego jak ścięcie drzewa.

Usłyszała nagle hałas przewracających się sprzętów, a zaraz potem ktoś puścił taką wiązaną przekleństw, że Jemima powinna się zarumienić. Powinna, ale się nie zarumieniła. Jej też czasem zdarzało się używać takich słów.

Był to oczywiście kierowca samochodu, bo któż by inny.. Brnął przez podwórze, wystraszony ujadaniem psów. Jemima odstawiła wiadro i uchyliła skrzypiące drzwi obory. Do środka wdarł się natychmiast lodowaty wiatr. Naciągnęła wełnianą czapkę na uszy i ledwie przestąpiła próg, uderzyła z impetem o coś twardego. Była to czyjaś pierś - bez wątpienia męska.

- Przepraszam!

Mężczyzna cofnął się i mrucząc pod nosem, roztarł miejsce, w które uderzyła brodą. Żeby spojrzeć mu w twarz, musiała unieść głowę. Śnieg smagnał ją po policzkach, a oczy natychmiast zaczęły łzawić.

- Czym mogę służyć?! - zawołała, przekrzykując wycie wiatru.

- Chcę rozmawiać z gospodarzem. Czy to twój ojciec?

Logiczny, apodyktyczny, nawykły do wydawania poleceń i do posłuchu. Cacy, pomyślała, uśmiechając się zadziornie.

- Ja tu jestem gospodarzem.

- Nie wygłupiaj się. Szesnastolatki chyba wolą spędzać czas przed lustrem.

Nie wiedziała, czy powinna się ucieszyć, czy obrazić. Niech mu będzie, pomyślała, rzeczywiście nie wyglądam na swoje lata, zwłaszcza że wokół panują ciemności.

- Dajmy na to - rzuciła zwięźle. - Ugrzązł pan w śniegu?

- Tak. - Przyznał się do tego takim tonem, że znowu drgnął jej kącik ust. Najwyraźniej nienawidził sytuacji, w których nie był górą. - Chciałbym, żeby ktoś wziął mnie na hol. Może twój ojciec mógłby wyjechać ciągnikiem.

Stłumiła śmiech.

- Zapewne mógłby - zgodziła się ochoczo - tyle że w tej chwili jest u siebie w domu, w Berkshire, a ciągnik niestety jest uszkodzony.

- Uszkodzony? Jak to: uszkodzony?!

Powiedział to tak, jakby nie mieściło mu się w głowie, że jakiś sprzęt ma w ogóle prawo się zepsuć.

- No... zwyczajnie.

- Na amen?

- W każdym razie w ciągu dziesięciu minut naprawić się nie da.

Mężczyzna westchnął i przecesał palcami włosy, strzepując z nich śnieg.

- Nie moglibyśmy gdzieś się schować przed tą cholerną zawieją?
- Oczywiście... Proszę.

Gdy weszli do obory, powitało ich porykiwanie krów.

Gwałtownie podniósł głowę.

- Są uwiązane?W jego głosie usłyszała lekki strach. Oho, nasz przyjaciel mieszczuch nie lubi krów, pomyślała z rozbawieniem.

- Spokojnie - powiedziała. - Boją się pana bardziej niż pan ich.

- Wątpię. - Cofnął się raptownie, gdy najbliżej stojąca krowa zaryczała i coś chlupnęło pod jego nogami. Zaklął.

- Trzeba patrzeć, gdzie się staje - stwierdziła lakonicznie.

- Chętnie skorzystałbym z dobrej rady - warknął zirytowany do ostateczności - ale na wypadek, gdybyś tego nie spostrzegła, ośmielę się zauważyć, że jest tu ciemno jak w d... u Murzyna i nie widzę nawet końca swego nosa.

- Bardzo mi przykro, wysiadł prąd - powiedziała i tym razem współczucie wzięło w niej górę nad zgryźliwością. - Pomogłabym panu, ale ciągnik jest naprawdę do niczego, a innego pojazdu nie mam. Może spróbujemy popchnąć pański samochód?

Prychnął zniecierpliwiony.

- To nic nie da! Zakopałem się po szyby.

- Hm... To może chodźmy do domu. Weźmiemy jakąś lampę i zadzwoni pan po ekipę ratunkową. Naturalnie opłaca pan składki...

- Naturalnie opłacam - odparował cierpko. - Chociaż nigdy nie miałem okazji skorzystać z dobrodziejstwa ubezpieczenia.

- Naturalnie - powtórzyła złośliwie.

- Na ogół jeżdżę bardzo ostrożnie - zachnął się, wyczuwając ironię.

- Jasne. A w ogóle, kto by pomyślał, że można utknąć w jakiejś głupiej zaspie.

Czy tylko to sobie wyobraziła, czy też naprawdę zazgrzytał zębami? Ten bubek nawykł do absolutnego posłuchu. Chciał mieć władzę nawet nad samochodem. Za bardzo go wypieścił, żeby ta głupia maszyna śmiała mu nawalać. Jemima była tego absolutnie pewna. Ona swoje cztery kółka traktowała niestety zupełnie inaczej. Zazwyczaj brakowało jej funduszy na przegląd i gruntowne naprawy, toteż musiała pogodzić się z tym, że z samochodu korzysta się tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne.

- Chodźmy zadzwonić. Proszę za mną.

- Nie widzę cię, to niby jak mam iść?

O, kurczę! Poszukała po omacku jego ręki i uderzyła dłonią o udo i... Och!

- Co ty u diabła wyrabiasz?! - krzyknął, odskakując. Nie potrafiła się powstrzymać od śmiechu. Istna farsa!

- Bardzo przepraszam. Szukałam jedynie pańskiej ręki, bo powiedział pan, że nic nie widać, a mamy przecież iść do telefonu.

Ponownie wyciągnęła rękę i po chwili poczuła, że mężczyzna nieufnie podaje jej swoją. Jego dłoń była zimna, ale nie tak skostniała jak jej, i o wiele mniej szorstka.

- Dziecko, ty jesteś przemarznięta na kość.

- Zgadza się, tylko że nie jestem już dzieckiem. Chodźmy.

Wyszła z obory, przeciskając się przez uchylone drzwi, i od razu zamknęła je za sobą. Nie chciała, żeby naniósł do środka śniegu. Do domu było kilka kroków, ale nim znalazła drzwi, zdążyła zaczepić łydką o zwój lin i wpaść na kolczasty żywopłot. Pociągnęła gościa na ścieżkę, oswobodziła nogę i pchnęła drzwi.

- Proszę wchodzić, szybko. Okrycie niech pan zostawi tutaj! - zawołała, przekrzykując chóralne szczekanie zamkniętych psów.

Zdjął palto i buty w maleńkiej sieni, potem wszedł do kuchni, zderzając się z istnym kłębowiskiem psiej sierści. Jemima nachyliła się i poklepała liżące ją radośnie psy.

- Cześć, dziewczyny. Przywitajcie się ładnie. Skoczyły na niego, a on, cofając się, wpadł na coś i zaklął siarczyście.

- Jess, Noodle, leżeć! Niedobre psiska! Nie ruszaj się, poszukam jakiegoś światła. - Sięgnęła po latarkę.

Jej gość stał wciśnięty w kąt między kijami od mioteł a wiszącymi smyczami. Odganiał gorączkowo psy.

- Co was napadło? Dajcie mi spokój!

Noodle, suczka, która wyglądała jak rodzona siostra mopa do podłogi, ponownie skoczyła na gościa.

- Bardzo przepraszam. - Jemima, tłumiąc śmiech, klepnęła się w udo. - Noodle, moja miła, chodź tutaj. Dosyć!

Psiak usłuchał, bynajmniej nie skruszony, a gość wyprostował się i westchnął. Nie widziała dobrze jego miny, więc zaświeciła mu latarką prosto w twarz. Zasłonił ręką oczy.

- A to co znowu? - warknął. - Chcesz, żebym oślepl?

- Przepraszam - powtórzyła, ale wcale jej nie było przykro. Nim zdążyła opuścić latarkę, zobaczyła wystarczająco dużo, żeby z jej pulsem zaczęło się dziać coś dziwnego. Ten facet miał zdumiewające oczy. Ciemnoniebieskie, niemal granatowe, skrzyły się teraz, wyraźnie odcinając się od ciemnej oprawy i dość bladej cery. Gęste włosy były w nieładzie, i te jego usta, och... Gdyby tylko przestał zrzędzić...

Poświeciła wokół latarką, szukając zapalek i lampy. On tymczasem stał w tej jej obdrapanej kuchni, powoli odzyskując równowagę. Dzięki Bogu, że jest ciemno, pomyślała. Nie było to zbyt prawdopodobne, ale może w świetle latarenki ta biedna izba nabierze romantycznego uroku, a pani domu nie będzie wyglądała, jakby dopiero co wyszła z siana. Wreszcie knot chwycił ogień, Jemima przycięła go zatem i nałożyła z powrotem szklany klosz. Płomień zamigotał i zapłonął jaśniejszym blaskiem. Uniosła lampę w kierunku nieznanego... wyżej, jeszcze wyżej.

- Ale z ciebie mikrus - powiedział takim tonem, jakby miał do niej pretensję.

- No cóż. Najcenniejsze klejnoty dostaje się w malutkich paczuszkach - palnęła bez zastanowienia. - Może poszedłbyś już do saloniku i zadzwonił po ekipę, nim zawieje nas tak, że nie będą mogli tu dojechać. - Wręczyła mu lampę i popchnęła go leciutko. - Telefon jest tam.

- A gdzie w ogóle jestem? Muszę przecież podać adres.

- Farma Puddleduck.

- Puddleduck? - powtórzył z roztargnieniem, a potem zapytał: - A

można wiedzieć, jak ty masz na imię? Chyba że to tajemnica.

Wciągnęła powietrze i wyprostowała się, jakby chciała wydać się wyższa.

- Mam na imię Jemima - odpowiedziała zadziornie. Uśmiechnął się leciutko, ale z jego ponętnych ust nie padł żaden komentarz.

- Miło mi cię poznać, Jemimo. - Skłonił się teatralnie. - Samuel Bradley. Do usług.

- Wydawało mi się, że to ja służę tobie.

- Faktycznie. - Zrobił kwaśną minę. - Jestem ci bardzo wdzięczny... No, to dzwonię. Wprowadziła go do saloniku i zostawiła samego. Świecąc sobie latarką, nalała wody do czajnika i postawiła go na blasze. Słyszając podniesiony głos, domyśliła się, że Sam dzwonił na darmo. Za oknem wirowały ogromne płatki śniegu. To nie wróżyło zbyt dobrze. Wrzuciła brudne naczynia do zlewu i nalała gorącej wody, usiłując je ukryć... Bez sensu. Na doprowadzenie kuchni do jakiego takiego porządku trzeba było wielu godzin, ale w ciągu dnia nie starczało czasu, a kiedy przychodził wieczór, Jemima padała z nóg.

Sam wszedł do kuchni z ponurą miną i odstawił lampę. Płomień przygasł, ale zaraz rozbłysnął na nowo.

- Coś nie tak? - odezwała się spokojnie. Wiedziała, że będą kłopoty.

- Nie mogą przyjechać - burknął. - Toną w powodzi wezwań i do jutra nie są w stanie nic zrobić. - Zerknął na zegarek - złoty, płaski, na eleganckim pasku, prosty i gustowny. Dlaczego w ogóle to zauważyła?

- Czy mogę zadzwonić do ludzi, do których jechałem? Będą czekać, a

nie chciałbym, żeby się martwili.

- Naturalnie. Możesz tu przenocować, zapraszam.

- Dziękuję, ale chyba nie będzie takiej potrzeby. Myślę, że uda mi się stąd dojść do nich pieszo. Pewności nie mam, ale to chyba niedaleko.

- W tych warunkach? - Zaświeciła latarką w okno i znowu zaklął. Robił to często. Widać lubił, żeby wszystko układało się po jego myśli. W takim razie lepiej, żeby jak najszybciej wyjechał z farmy, pomyślała z niechęcią. Musiała jeszcze dzisiaj wydoić ręcznie trzydzieści krów, nakarmić cielęta i posprzątać. Jednym słowem, piekło, które miało się zaraz zacząć.

- Idę dzwonić - powiedział. Wziął lampę i wrócił do saloniku.

- Dziadek? Cześć, mówi Sam. Miałem małą przygodę. Utknąłem w zaspie przy Puddleduck. Daleko stąd do was? Da się dojść?

- Z Puddleduck? Oj, to przecież...

- Puddleduck? - Usłyszał w de głos babki. - Czy to Sam? Daj mi go... Halo...

- Cześć, babciu. Właśnie mówiłem dziadkowi, że jestem na farmie Puddleduck. Wjechałem samochodem w zaspę, więc przyjdę do was pieszo.

- W taką pogodę? Nie, nie. To stanowczo za daleko. Zostań tam. Jemima się tobą zajmie.

- Znasz ją?

- No pewnie, jesteśmy sąsiadami... to znaczy w pewnym sensie.

To od nas kawał drogi, a w tej zawiei i po ciemku... nie, kochany, to bez sensu. Zostań u Jemimy i może trochę jej pomóż - jest sama, a bez prądu będzie musiała doić ręcznie. Tyle tam roboty... Możesz się przydać.

Usłyszał prychnięcie dziadka i prawie jęknął. Miał jej pomóc? W tych warunkach? Nienawidził zimna, a już szczególnie nie cierpiał krów. Zerknął na swoje skarpetki i spodnie umazane na dole czymś ciemnozielonym i cuchnącym. Już widział minę, jaką go uraczą w pralni chemicznej.

- Na pewno dam radę dojść.

- Ale... zrozum. Ona jest sama, a to takie chuchro. Nie możesz jej tak zostawić. - Do dyskusji włączyła się babcia Sama.

- OK, babciu. OK.

Wiedział, kiedy nie ma szans, a babcia Mary umiała genialnie jedno: ustawić go, jak należy. Mówiła, co jest ważne, a co mniej, i od razu robiło mu się lżej na duszy. Właśnie dlatego chciał się z nią teraz zobaczyć.

- A co u was? - zapytał.

- W porządku. Ciepłutko jak w uchu, a na ganku mamy zapas drzewa. Nic nam nie będzie... A psy i koty? No cóż, jakoś przetrzymają. Zatrósz się lepiej o Jemimę i bądźmy w kontakcie. Przekaż jej od nas ucałowania.

Pożegnał się i powoli odłożył słuchawkę. Zatrósz się o nią? Hm, nie sądził, żeby to było konieczne. Może i była filigranowa, ale wyglądała mu na kogoś, kto potrafi znakomicie sam o siebie zadbać.

Gdy wszedł do kuchni i odstawił lampę, pani domu właśnie nalewała herbatę, przyświecając sobie latarką.

- Wszystko w porządku? - spytała wesoło, odwracając do niego twarz.

W świetle lampy zobaczył jej oczy - brązowożłote, rzucające figlarne błyski - oraz burzę kręconych, potarganych włosów. Wydała mu się bardzo młoda, bezbronna i prześliczna... Raptem nabrał podejrzeń co do intencji babki.

- Moi dziadkowie przesyłają ci ucałowania - powiedział, nie odrywając od niej wzroku. - Dick i Mary Kingowie.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Jesteś ich wnukiem?

- Tak. Chciałem do nich pójść, ale babcia twierdzi, że to za daleko. Zasugerowała, bym tu przenocował i pomógł ci, jeśli oczywiście wyrazisz zgodę.

Przez moment patrzyła na niego, jakby zobaczyła świętego, ale aureoli jakoś nie potrafiła się dopatrzeć. To musiał być rzeczywiście pomysł Mary, pomyślała, skrywając uśmiech. Do Kingów było niecałe trzysta metrów.

Pomóc jej? Hm. Spojrzała z zainteresowaniem na swego nieoczekiwanego pomocnika. Ponad metr osiemdziesiąt, nie ułomek, choć pewnie ma trochę sflaczałe mięśnie. Ładnie wyrósł, o tak. Nie chce mu się tyrać, oczywiście, ale ma swój honor, więc jakoś przez to przebrnie. Należało jedynie połechtać jego próżność. Kochana Mary!

- Zgadzam się, oczywiście, i bardzo ci dziękuję... - Po raz

pierwszy od kiedy się tu pojawił, uśmiechnęła się naprawdę szczerze.

- Odpłacę ci robotą za gościnę - powiedział szybko. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Będę bardzo wdzięczna. - Bez żenady zlustrowała go wzrokiem i z rozkoszą zauważyła, że się zaczerwienił. Naprawdę prawie wcale się nie zmienił. - Wyglądasz całkiem, całkiem... - kontynuowała, wyraźnie się z nim drocząc. - Chyba się nadasz. Masz krzepę?

- Jestem pewien, że ci dorównam - odparł, prostując dumnie plecy.

Spostrzegła, że usta drgnęły mu w skrywanym uśmiechu. Wargi miał niezbyt pełne, ale i nie niezbyt wąskie. Gotowa była iść o zakład, że nauczył się nieźle całować...

- Znajdę ci coś do przebrania... chyba że masz odpowiednie ciuchy w samochodzie... - powiedziała szybko, rezygnując z dalszego dowcipkowania. Mogłaby wpakować się w kłopoty, to zaś z pewnością zakłóciłoby rytm jej spokojnego życia. W końcu byli tu na siebie skazani, a to, że знаła go jako chłopca, nie oznaczało jeszcze, że i teraz mogła mu w pełni ufać. - Może jakieś dzinsy?

- Mam swoje, dzięki Bogu. Już widzę, jak się wciskam w twoje spodnie. Byłby to atak na moje rodowe klejnoty - odparł sucho.

Zarumieniła się.

- Chciałam ci zaproponować coś z rzeczy po wuju, ale skoro masz własne, lepiej chodźmy już do samochodu, zanim całkiem nas zasypie.

Popatrzył na śnieg wirujący za oknem i na jego twarzy

odmalowała się cała niechęć, jaka musiała się w nim nagromadzić. Podobnie jak jej, nie chciało mu się nigdzie wychodzić. Różnica polegała na tym, że ona i tak musiała, a on nie. Ogarnęły ją raptem wyrzuty sumienia, jednak szybko je stłumiła. Był wystarczająco dorosły i dostatecznie zrozumiął, by nie musiała się o niego troszczyć. Poza tym chodziło przecież o jego ubranie. A czy rzeczywiście pomoże jej przy krowach, miało się dopiero okazać.

- No więc?

- Zastanawiam się, czy nie byłoby sensowniej zrobić to rano.

- Rano to możesz w ogóle nie znaleźć swego samochodu - rzuciła lekko i dodała: - Pomyślałeś, żeby przywiązać coś do anteny?

- A co na przykład miałem przywiązać? Może baloniki? Poza tym, mój samochód nie ma anteny.

Jasne. Powinna była się domyślić, że stać go na wóz z radiem.

- Tak czy siak, powinniśmy oznaczyć miejsce czymś czerwonym, na wypadek gdyby przejeżdżał tędy pług śnieżny. Raz już się zdarzyło, że zepchnęli czyjś samochód w żywopłot.

Zbladł, biedaczek.

- Hm... Nie oznaczyłem go. Masz coś czerwonego?

Zastanowiła się i jedyną rzeczą, jaka przyszła jej do głowy, był biustonosz z kompletu koronkowej bielizny, której już nie nosiła. Krowom doprawdy było wszystko jedno, co miała pod spodem, a szczerze mówiąc, do pracy i tak wygodniejsze były zwykłe bawełniane staniki. Wszystko to prawda, ale... Zawiazywać biustonosz na samochodzie obcego faceta?!

- Może i mam - odpowiedziała niezdecydowanie. - Muszę zobaczyć. Uwiążemy kawałek materiału na kiju, który wbijemy w zaspę. Na samochodzie mogłoby zniknąć pod śniegiem.

- Co takiego?! Wzruszyła ramionami.

- Nie udawaj głupiego. Trzeba iść. Powinny tu gdzieś stać kalosze... O, te. Zmierz.

Odwróciła je do góry podeszwą i ostukała jeden o drugi. Na podłogę wypadł ogromny pajak.

- A to co, u licha?! - krzyknął Sam. Jess pogoniła za pajakiem, dopadła go i zaczęła szczeakać.

- Pajaka nie widziałeś? Spokój, Jess! No, co się tak gapisz?

Mierz!

Wziął kalosze i zajrzał podejrzliwie do środka.

- Nie ma tam przypadkiem więcej rozkosznych pajaczków? Co?

- Bardzo możliwe, że są. Na wszelki wypadek włóż nogawki spodni w skarpetki... Czy to twoje najlepsze palto, Sam?

Posłusznie założył kalosze, wzdrygnął się i wstał.

- Owszem. A co?

- Pomijając już to, że się pobrudzi, nie jest nieprzemakalne.

Nasiąknie i bardzo zmarzniesz.

Zrobiło się jej go szczerze żal, zdjęła więc z haka starą, podgumowaną kurtkę wuja, sprawdziła, czy w rękawach nie gnieźdzą się pajaki, i podała mu ją.

- Masz, zmierz to.

Wciągnął kurtkę i od razu zaczął przypominać bardziej farmera

niż miastowego.

- A co z tą czerwoną szmatą?

- Właśnie... - Wbiegła na piętro, odszukała czerwony biustonosz i pas w tym samym kolorze i wcisnęła je do kieszeni. Przywiąże je, kiedy Sam nie będzie patrzył...

- Możemy iść - powiedziała, wkładając kurtkę i kalosze. - Leżeć!
- rzuciła do psów i wyszła na dwór z latarką w ręku. Z kąta przy szopie zabrała dwa kije i ruszyła przez podwórze do szosy.

Przez cały czas Sam siedł obok niej, więc usłyszała dokładnie to, co mruknął do siebie, gdy znaleźli się przy prawie zupełnie zasypanym samochodzie.

- Gdzie masz bagaż? - spytała.

Zerknął ze złością na tył przysypany górami leciutkiego puchu.

- Tutaj. Chyba lepiej najpierw zgarnąć śnieg.

- Pewnie. - Poświeciła mu latarką.

Oczyścił bagażnik, zaklął, wyciągnął elegancką torbę podróżną i mały skórzany neseserek z monogramem i szybko zatrzęsął pokrywą. Jednak i tak zdążyło napadać do środka. Zobaczyła logo bmw i pomyślała zjadliwie o swojej niedawnej wypowiedzi na temat anteny. Antena! To wymuskane autko było zapewne w stanie odbierać fale radiowe nawet telepatycznie!

- Lepiej założę blokadę na kierownicę - mruknął, gorączkowo odkopując drzwi.

Stłumiła śmiech. Och, ci miastowi, pomyślała z niesmakiem, na chwilę zapominając, że rok temu była taka sama.

- Postawię teraz kije. - Wyjęła z kieszeni bieliznę, przywiązała ją i wbiła jeden kij z przodu, po czym, grzęznąc w śniegu, przeszła z drugim na tył. Mocowała go, gdy Sam odebrał jej latarkę i skierował światło na „chorągiewki”.

- Co to ma...

- Nawet nie próbuj się śmiać! - przestrzegła, ale tego już było za wiele. Widząc, że chłopisko dusi się ze śmiechu, nabrała garść śniegu i wrzuciła go Samowi za kołnierz.

Wrzasnął tak, że obudziłby umarłego, zaraz jednak dostała za swoje. Wielka piguła trafiła ją w piersi.

- Trafiony, zatopiony! - zawołała ze śmiechem, cofnęła się i strząsnęła śnieg z ubrania.

- Pokój? - zapytał czujnie, na wszelki wypadek lepiąc następną śnieżkę.

Zastanowiła się i uznała, że i tak odbije sobie tę bitwę za parę godzin, zapędzając go do ciężkiej fizycznej pracy.

- Pokój. I bez śniegu w majtkach jest mi okropnie zimno. Ruszyli z powrotem szosą, zgięci w pół. Instynktownie kuląc się przy każdym gwałtowniejszym podmuchu wiatru, dotarli szczęśliwie do domu.

- Na twoim miejscu przebrałabym się już teraz - powiedziała, gdy zdjęli wierzchnie okrycia i weszli do oświetlonej lampą kuchni. - W oborze może być błotko.

- Błotko?

- A tak, tak. - Uśmiechnęła się. - Przebierz się, a ja w tym czasie przygotuję ci spanie. - Zdjęła czapkę, strzepnęła śnieg z włosów i w

samych skarpetkach, nie czyniąc najmniejszego hałasu, pobiegła na górę.

Postanowiła umieścić go w pokoju nad salonikiem. Po jej własnym, który znajdował się nad kuchnią, ten był najcieplejszy. To, że mieli nocować dosłownie przez ścianę, zakrawało na igranie z ogniem. Zerknęła na drzwi innych pokoi, ale wszystkie były maleńkie, zimne i pełne pudeł z rzeczami, które czekały na rozlokowanie.

Pościeliła łóżko i zeszła na dół tak samo bezszelestnie, jak weszła. Sam przebrał się już w swoje markowe dzinsy. Siedział i drapał psy za uszami. Niesłychane!

- Lepiej uważaj na Jess. Nie bardzo lubi mężczyzn - poradziła z przekąsem.

- Jess?

Suka rasy collie zastrzygła uszami i popatrzyła na niego zalotnie.

- Zdrobnienie od Jezebel - mruknęła niechętnie. A to dopiero kundlica niewierna! Od śmierci wuja Toma gryzła każdego, kto przestąpił próg tego domu. Tolerowała wyłącznie pana Kinga, dziadka Sama. - No, to chodźmy. Szybciej zaczniemy, to i szybciej skończymy. Doiłeś kiedyś krowę?

Wzdrygnął się.

- Nie, chwala Bogu.

- Hm... To nic, na pewno szybko się nauczysz. Ciekawa jestem, ile potrwa ta awaria prądu.

- Zadzwoń i zapytaj.

Głupie. Sama powinna była o tym pomyśleć. Gdyby nie on,

pewnie dawno by to już zrobiła. Wzięła latarkę i poszła zadzwonić. Uzyskane informacje nie poprawiły jej nastroju.

- Nie znają przyczyny przerwania dopływu prądu. To może potrwać wiele godzin. Wygląda na to, że odcięło duży obszar. A już myślałam, że znowu zawinił mój dąb.

- I pograżyłyby w ciemnościach całe Dorset? To musiałby być prawdziwy mocarz.

Uśmiechnęła się.

- Kiedyś pewnie i był, ale teraz to już tylko żałosne resztki świetności. No, chodź, mieszczechu. Zobaczymy, z czego cię ulepili. Znajdę ci jakąś bezpieczną robotę. - Chwyciła okrycie, wsunęła stopy w kalosze i wzięła do ręki lampę.

Bez słowa popatrzył jej w oczy. Zrozumiała, że podjął wyzwanie. O Boże! Chyba jednak trochę przesadziła. Naciągnęła czapkę na uszy i wyszła na dwór. Śnieżyca szalała w najlepsze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rewanż za obrzucenie śniegiem nastąpił wcześniej, niż mogła przypuszczać. Daisy w sekundę oceniła Sama i uznała, że należy mu się bodnięcie w żebra. Odskoczył z krzykiem i uderzył w ścianę.

- Daisy, ładnie to tak? - zganiła krowę Jemima i skupiła uwagę na swym obolałym pomocniku. - Dobrze się czujesz? - zapytała z niepokojem, widząc, że zamknął oczy i mocno zaciska usta.

- O, świetnie, po prostu kwitnąco. - Uniósł powieki i wbił w nią wzrok. - Nie mogłabyś jej uwiązać? A najlepiej je wszystkie.

- Nie trzeba. Jeśli dam im jeść, poczekają grzecznie na dojenie.

- No to, na miłość boską, daj im wreszcie to żarcie.

Odsunął się od ściany i ostrożnie pomacał żebra.

Chwyliła widły i zaczęła nakładać kiszonkę do koryt.

Przyzwyczajone do tego krowy stały cierpliwie po obu stronach obory, czekając na swoją porcję.

- Może ja to zrobię? - zaproponował nagle, widząc, że za barierką jest bezpiecznie.

Ochoczo przekazała mu widły, wzięła drugie i wygarnęła rozmięktą ściółkę. Żeby zacząć doić, potrzebowała jeszcze tylko gorącej wody. Podała Samowi wiadro.

- Czy mógłbyś pójść do domu i przynieść trochę ciepłej wody? Nie za gorącej - do mycia wymion.

Spojrzał na nią zdziwiony, ale wziął latarkę i ruszył w kierunku

drzwi.

- Wychodzę i przez pewien czas może mnie nie być - powiedział teatralnie. Uchylił drzwi i do środka od razu wdarło się lodowate powietrze.

Kiedy wyszedł, Jemima uśmiechnęła się szeroko, ustawiła stołeczek i wiadro, ale kiedy rozejrzała się po oborze, straciła od razu dobry humor. Rano trzeba będzie wynieść gnój. Miała nadzieję, że do tego czasu włączą prąd, bo ręczne dojenie zajmowało tyle czasu, że ledwie skończyłyby wieczorne, musiałyby zaczynać poranne, a nie należało się spodziewać, iż pomoc Sama na wiele się zda.

Pojawił się, wyraźnie naburmuszony, z parującym kubłem w ręce i Jess u boku.

- Chciała wyjść... Czy dobrze zrobiłem?

- Bardzo dobrze. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła do suki rękę. Jess podbiegła do niej na moment, pozwoliła na odrobinę czułości, a potem znalazła sobie przytulny kąt, zwinęła się w kłębek, od czasu do czasu otwierając czujnie jedno oko.

Jemima wzięła wiadro oraz flanelową ścierkę i zajęła się pierwszą krową. W normalnych warunkach podłączała je do starej maszyny do dojenia, którą wuj Tom kupił niedługo po wojnie i nigdy nie wymienił na inną, jednak bez prądu nie pozostawało jej nic innego, jak tylko przesuwając się ze stołeczkiem od krowy do krowy i doić ręcznie. Szło to powoli. Zauważyła, że Sam jest znudzony, odwróciła więc do niego głowę.

- Trafiała ci się rozrywka - zażartowała. - A co najczęściej robisz

w piątkowe wieczory?

Roześmiał się i ukucnął przy niej.

- To i owo. Morduję kilkoro staruszków, planuję skok na bank - słowem, nic specjalnego.

- Na posterunku wisi, zdaje się, twoje zdjęcie... A może to Buffalo Bill?

- Może. Jesteśmy do siebie bardzo podobni - przytaknął ze śmiertelną powagą.

- Hm... Tyle że, oczywiście, on umie wydoić krowę. Uniósł brwi, tak nieznacznie, że na pewno uszłoby to jej uwagi, gdyby się tak w niego nie wpatrywała. Tak czy owak, zauważyła. Czyżby potraktował to jako wyzwanie? Nie miała pewności, ale mimo to wstała i oddała mu stołeczek.

- No, Buffalo Bill, twoja kolej.

Usadowił się, podwinął długie nogi i posłał jej nader wymowne spojrzenie. Trzeba przyznać, że urósł nieco w jej oczach. Splotła dłonie i oparła się o ładnie zaokrąglony zad Bluebell.

Dotknął niepewnie wymienia, a krowa odwróciła swój duży łeb i spojrzała na niego łagodnymi oczami, jakby zdziwiona.

- Oprzyj głowę o jej bok - nauczyła go Jemima.

- Słucham? Co mam zrobić? - Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby mu proponowała, żeby włożył głowę w paszczę lwa.

- No, zwyczajnie. Oprzyj się o nią.

Z niepewną miną dotknął głową boku krowy.

- I co teraz?

- Pociągnij za cycek, a potem przesun mocno palcami z góry na dół, tak jakbyś wyciskał pastę do zębów z tubki... O, tak.

Mleko trysnęło wprost na drogie dzinsy.

- A teraz do wiaderka.

Pokręcił głową zirytowany, ale potem zaczęło mu iść całkiem nieźle, póki Bluebell nie poruszyła się i nie przewróciła kubła. Sam zerwał się na nogi i klnąc, gwałtownie odskoczył. Wystraszona krowa, tocząc oczami i porykując, pomknęła do Jemimy.

- Nic, nic, skarbie. On jest po prostu miastowy - uspokajała ją, dusząc się ze śmiechu. - Chodź, moja kochana.

- Moja kochana! - powtórzył ze zgrozą, patrząc, jak Jemima prowadzi zdenerwowaną Bluebell do przegrody i daje jej dokładkę kiszonki. - Dlaczego ona to zrobiła?

- Pewnie ją uszczypnąłeś, one są bardzo wrażliwe.

- Wrażliwe?! To góra miecha.

- Nie zwracajcie na niego uwagi - poradziła krowom. - To tylko mężczyzna. Nie można od takiego wymagać zbyt wiele.

Jakby na potwierdzenie jej słów jedna z krów zaryczała. Sam prychnął z niesmakiem, a Jemima usiadła na stołeczku przy Bluebell, wydoiła ją do końca i zajęła się Ruby. Z nią poszło łatwo, bo całkiem niedawno miała zapalenie wymienia i pamiętała, na czym polega ręczne dojenie, ale z innymi był problem.

- Co później dzieje się z tym mlekiem?

- Filtruję je i przelewam do schłodzenia... Choroba!

- Co znowu?

- Nie ma prądu! Chłodziarka nie będzie działać. Filtr też. Zresztą, i tak nikt tego mleka nie odbierze i...

- I co?

- Przepadnie mi forsa.

- Duże to pieniądze?

Pomyślała o niezdatnym do niczego ciągniku, o swoim rozklekotanym samochodzie i o jeszcze bardziej opłakanym stanie konta.

- Niemałe.

- Nic nie da się zrobić?

Wyprostowała plecy i popatrzyła łagodnie na krowy, czekające cierpliwie na swoją kolej. Minie wieczność, nim je wszystkie wydoi, a całą tę mękę zwieńczy wylanie mleka do szamba.

- Trzeba zaprowadzić krowy, które niedawno rodziły, do ich cieląt. W ten sposób przynajmniej część mleka się nie zmarnuje.

- Ile jest tych matek?

- Tylko dziesięć.

- Czyli że... Co?! Masz jeszcze dwadzieścia krów? Kiwnęła głową.

- Dokładnie mówiąc, dwadzieścia jeden. Te pierwsze powinniśmy oddzielić już teraz; niecierpliwia się, bo się spóźniam.

Minęło pół godziny, nim cielaki połączyły się z matkami, a potem trzeba było jak najprędzej zabrać się do dojenia pozostałych krów. Jemima zajrzała do zbiornika z wodą i westchnęła ciężko. Był prawie pusty.

- O co chodzi?
- O wodę. Trzeba napełnić zbiornik, ale pompa jest na prąd.

Więc...

- A gdzie masz najbliższy kran?
- W domu też jest hydrofor. Nie jesteśmy podłączeni do

wodociągu.

- Co?!
- Tutejsza woda jest wspaniała. Pochodzi z głębokich źródeł i ma taki krystaliczny smak, że aż się wierzyć nie chce.

- Ale z wodociągiem życie jest o wiele prostsze! Pokręciła głową.

- Mleko miałoby inny smak, a sprzedaje je specjalistycznej firmie. Produkują z niego kwaśną śmietanę i jogurty. Jakość mleka jest najważniejsza.

- Wobec tego - westchnął - co rozkażesz?

- Musimy przynieść wodę z potoku. Pokażę ci, gdzie to jest.

- Umieram z ciekawości - mruknął pod nosem, ale poszedł posłusznie za nią. Zobaczył duży strumień i zawiesił latarnię między połyskliwą wodą a oborą.

- Uważaj na stopień - powiedziała. - Może być śliski.

- Ile kubłów mam przynieść? - zapytał po jakichś dziesięciu kursach.

Podniosła wzrok znad wymienia krowy i spojrzała na Sama.

Opierał się ścianę, oddychał ciężko, a przecież był to dopiero początek.

- Około stu pięćdziesięciu.

- Co takiego?! No, nie. To po prostu śmiech na sali.

- Krowa pije mnie więcej czterdzieści do sześćdziesięciu litrów dziennie. Dla wszystkich potrzeba zatem tyle wody, ile mieści się w stu pięćdziesięciu wiadrach. Jak się przynosi dwa kubły naraz, to trzeba obrócić tylko siedemdziesiąt pięć razy. Dzisiaj - dodała prędko, widząc, że jest przerażony - nie trzeba aż tyle, a mam nadzieję, że do rana włączą prąd.

Bez słowa oderwał się od ściany i wyszedł. Wył wiatr i chociaż przestało padać, za każdym razem, gdy Sam wracał, wiało mu prosto w twarz zmrożonym śniegiem z pola.

Jemima wydoiła krowy, przelała mleko do schłodzenia, na wypadek gdyby jednak jakimś cudem odbiorca zdołał jutro przyjechać, a światło zostało zaraz włączone, i poszła pomóc Samowi. Skończyli nosić wodę o dziesiątej. Do tego czasu zdążyła sobie poharatać ręce tak, że krwawiły. Straszliwie bolały ją plecy i gdyby była sama, najchętniej zwinęłaby się w kłębek i zaskomlała jak pies. Ale nie była sama, więc nie uroniła ani jednej łzy. Sam też nie, chociaż - pomyślała, zerkając na niego - gdyby go zostawić, na pewno postąpiłby tak samo.

- Rano wszystko cię będzie bolało - przestrzegła.

- Dzięki, że mi o tym przypomniałaś. Masz jeszcze jakąś robotę na dziś?

- Myślę wyłącznie o tym, żeby się najeść, ale nie wiem, czy mam coś, co da się ugotować.

- Wskoczyć po chińskie żarcie?

Popatrzyła mu w oczy i zdumiało ją to, że zobaczyła w nich wesoły błysk. Po tym wszystkim, co zrobił?

- Dobry pomysł. Zamawiam specjalność szefa kuchni.
- OK. A ja kurczaka z ryżem. Życzysz sobie bukiet nowalijek? A

może bułeczkę?

Rozejrzała się po oborze, opuściła trzymaną w ręce lampę i spojrzała na niego.

- O, tak, proszę, i krewetkowe krakersy. Zaburczało mu w brzuchu. Parsknęła cichym, zmęczonym śmiechem.

- Chodź, kowboju. Zrobimy najazd na spiżarnię. Był wykończony. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak się zmęczył. Przy noszeniu wiader poobcierał sobie ręce, bolały go plecy i ramiona i był taki głodny, że aż kręciło mu się w głowie.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytał w nadziei, że w ten sposób szybciej usiądą do jedzenia.

- Nie. Mamy chleb, ser i trochę zupy. Podgrzeję ją. Umyj ręce, ale oszczędzaj wodę, najlepiej skorzystaj z tej po mnie.

Otrząsnęła ręce i sięgnęła po ręcznik. Podszedł do zlewu i zajrzał do pojemnika na wodę. Na mydle zauważył czerwone smugi. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Jemima aż wstrzymuje oddech, ostrożnie przyciskając ręcznik do palców. Opłukał ręce, wytarł i podszedł do niej. Odebrał jej talerz z serem, odstawił, po czym ujął jej dłonie i odwrócił. Były popękane, w skórę wżarł się brud, krew ledwo co zaschła. Jemima stała przez chwilę z zamkniętymi oczami, nic nie mówiąc.

- Hej, obudź się - mruknął.
- Ten brud nie zejdzie - powiedziała speszona. - Weź sobie

kolację sam, jeśli boisz się czymś zarazić.

- Nie o to chodzi. Masz jakiś krem?

- Jeść!

- Masz?

- Później poszukam. Najpierw chcę zjeść.

Kiedy puścił jej dłonie, zaczęła się krzątać po kuchni. Pokroiła chleb, nakryła do stołu, nakarmiła psy, a potem zrobiła herbatę.

- Jemima, chodź jeść.

Postawiła na stole dwa kubki, usiadła i rzuciła się na ser. Sam zjadł talerz rosółu i dwa plasterki chleba z serem i z rosnącym zdumieniem przyglądał się Jemimie. Spałaszowała przynajmniej dwa talerze zupy, zagryzając chlebem.

- Do licha, gdzie ci się to wszystko mieści? - spytał, gdy sięgnęła po ciasto.

- Nie jadłam lunchu - odpowiedziała z pełnymi ustami. -

Poczęstuj się. Upiekła je twoja babcia.

Skubnął kawałeczek. Ciasto było smaczne. Bardzo smaczne. Wziął więcej, nalał sobie jeszcze jeden kubek herbaty i zaczął się zastanawiać, czy to zimno, czy też wysiłek tak zaostrzyły mu apetyt. W końcu najadł się do syta, a Jemima zebrała talerze i postawiła je jeden na drugim przy zlewie.

- Ręce - powiedział, chwytając ją w przelocie, gdy po raz drugi wróciła z ganku, gdzie stała lodówka.

- OK. - Sięgnęła po leżący przy zlewie krem do rąk, zwykły krem, który byłby mało skuteczny nawet po niedużych wiosennych

porządkach. Wziął go od niej i odłożył.

- Masz maść?

- Co?

- No, maść antybakteryjną. Coś na skaleczenia.

Otworzyła szafkę i podała mu tubkę. Posadził Jemimę, postawił sobie krzesło naprzeciwko i delikatnie posmarował jej rękę.

- Czemu to robisz? - zapytała.

Nie był pewien, czy sam to wie, ale nie powiedział jej tego.

Wcierał krem, aż wchłonął się w poranioną skórę, po czym nałożył drugą warstwę.

- Masz może jakiś silniejszy środek?

- Nie. Tylko maść, którą stosuję przy zapaleniu wymion. Jest w oborze, na polce przy drzwiach.

- Pójdę po nią.

- Jutro...

Wstał, kładąc ręce na jej kolanach.

- Pójdę.

Włożył palto i kalosze, wziął latarkę i poszedł przez zawiane podwórze. Sypnęło mu w twarz śniegiem, ale trudno było powiedzieć, czy znowu pada, czy też wiatr nanosi biały puch z pól. Tak czy owak, było diabelnie zimno i z ochotą schronił się pod dachem, wszystko jedno, z krowami czy bez. W oborze było ciepło, w każdym razie dużo cieplej niż na dworze. Wypełniały ją szelesty, senne pomruki i odgłosy przeżuwania.

Jedna z krow - Bluebell? - podeszła do niego i powąchała,

poruszając nozdrzami. Wyciągnął rękę, a wtedy ją polizala. Jej język był szorstki i niewiarygodnie wprost delikatny. Może te stworzenia nie są takimi potworami, pomyślał o krowach i leciutko podrapał ją między oczami. Patrzyła na niego przez moment, a potem cofnęła się i dołączyła do pozostałych. Wydało mu się, że jej oczy - duże, łagodne i czujne - są podobne do oczu Jemimy.

Znalazł maść na wskazanej półce i ruszył z powrotem przez iście diabelską zawieję w stronę przyjaznego światła bijącego z okna. Wszedł do sieni, rozebrał się i otworzył drzwi do kuchni. Przez chwilę stał w progu, rozkoszując się ciepłem.

Jemima spała w fotelu przy piecu, z małą Noodle na podolku i Jess u stóp. Czy sen potrzebny był jej bardziej niż maść? Jeśli tak, to czy obudziłaby się, gdyby posmarował jej ręce? Odkręcił wieczko i delikatnie wydobyl dłoń Jemimy spod białego psiaka. Dziewczyna mruknęła coś przez sen, lecz nie obudziła się. Noodle powąchała maść i znowu zapadła w drzemkę. Jemima nawet się nie poruszyła. Oddychała miarowo, jej głowa opadła na twarde oparcie fotela. Uświadomił sobie nagle, że jest wyczerpana. Wyczerpana, przepracowana, zabiedzona - i to nie tylko z powodu pogody i kłopotów z prądem.

Co by zrobiła bez niego?

Poradziłaby sobie. Oczywiście, znał odpowiedź. Oczywiście stało się jednak dla niego również i to, że w tej sytuacji nie mógłby jej opuścić.

Zrobił sobie herbatę i pił ją, siedząc w fotelu naprzeciwko. Jess ułożyła się u jego stóp. Drapał ją pieszczotliwie za uszami, patrzył na

śpiącą Jemimę i myślał, jaka jest dzielna i jak różni się od tych powierzchownych, płytkich kobiet, z jakimi stykał się na co dzień. Miała w sobie ducha zdobywców Zachodu - upór, determinację, żywą inteligencję i niezwykłą osobowość, skrzącą się pomysłowością i humorem. Ciekawe... Szkoda, że nie starczy czasu na bliższe poznanie.

Obudziła się o północy, ze zdrętwiałą szyją. Sam spał wyciągnięty w fotelu. Patrzyła na niego przez chwilę, ciesząc się jego widokiem. Ciemne, potargane włosy opadały mu na czoło. Ma mocne kości, pomyślała bez większego sensu, mocne kości i krzepę. Postawiła Noodle na podłodze, otworzyła drzwiczki pieca i podrzuciła koksu na resztę nocy. Tylko tego jeszcze brakowało, żeby wygaś.

Sam poruszył i coś wymamrotał. Spojrzała na niego. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby nie został. Poradziłaby sobie, oczywiście, ale wkrótce chyba opadłaby z sił. Kiedy? Za dzień? Może dwa? Pochyliła się i potrząsnęła nim delikatnie. Zauważyła nagle, że przestały ją boleć poranione ręce.

- Sam... Czas do łóżka.

Błyskawicznie uniósł powieki i wytrzymał jej spojrzenie. W oczach miał senność, ciepło i coś, co zrozumiała bezbłędnie. Powoli uśmiechnął się i było to tak zmysłowe, że aż wstrzymała oddech. Stękając, podniósł się z fotela.

- Zabrzmiało to cudnie, ale nie przypuszczam, żebyś miała równie obiecujące zamiary - powiedział z żalem w głosie.

Uśmiechnęła się.

- Nie starczyłoby mi siły.

- A ja nawet bym tego nie zauważył, bo i tak bym spał.

Roześmiali się oboje. Wypuściła jeszcze na moment psy na dwór i poszli na górę. W pokojach sypialnych było dużo zimniej. Miała nadzieję, że Sam jest zahartowany, bo inaczej zamarłby na kość. Pamiętała jeszcze swoje pierwsze zetknięcie z tutejszą zimą. Trochę trwało, zanim się przyzwyczaiła, ale jakoś wytrzymała.

- Śpisz tu - powiedziała i pchnęła drzwi.

Łóżko wyglądało schludnie, pokój zupełnie przyjemnie, ale ziąb był przerażający.

- Przepraszam, że nie jest tu cieplej. Dam ci dodatkowe przykrycia. Jeśli zostawisz drzwi otwarte, to dostanie się tu cieplejsze powietrze z kuchni. - Sięgnęła do olbrzymiego kredensu, wyjęła dwie kołdry i podała je Samowi. - Zostawiam lampę tutaj, ale nie zaprósz ognia, bo nie mamy wody. Rano przyniosę kilka wiader do łazienki. Czy czegoś jeszcze potrzebujesz?

- Nie, dziękuję.

- No, to do rana.

- O której zaczynasz dojenie?

- Zwykle o piątej. Zrobił cokolwiek głupią minę, ale kiwnął głową.

- Obudź mnie.

- Dam sobie radę...

- Obudź, i koniec.

Uśmiechnęła się. Chciał być bohaterem? Świetnie, właściwie

czemu nie.

- W takim razie do zobaczenia o piątej. Dobranoc, Sam... i dziękuję.

Weszła do swego pokoju, zostawiając drzwi uchylone, żeby mieć choć trochę światła. Prędko przebrała się w piżamę, umyła zęby w naparstku wody, przetarła twarz chusteczką higieniczną, przeciągnęła szczotką włosy i zwinęła się pod pierzyną, rozcierając stopy w grubych skarpetkach, których używała do spania.

Do piątej rano nie pozostało zbyt wiele czasu.

Ale ziąb! Naciągnął na piżamę sweter, włożył drugą parę skarpet, rzucił na łóżko dodatkową kołdrę i skulił się, trzęsąc się z zimna. Był chyba jeszcze bardziej wydelikacowany, niż przypuszczał. Okno było nieszczelne i wiatr bez trudu przenikał szparami do sypialni. Ciepło z kuchni? Wolne żarty!

Naciągnął przykrycia na głowę i chuchnął na ręce, usiłując je rozgrzać, ale efekt był mizerny; tyle tylko, że pod kołdrą pojawił się obłoczek pary. Odślonił twarz, szczelnie owinął głowę, zwinął się w kłębek i znieruchomiał. Nie było słychać nic, oprócz zawodzącego wiatru. Kiedyś latem mieszkał na farmie u dziadków. Pamiętał odgłosy nocy na wsi - pohukiwanie sów, szelesty, odgłosy wydawane przez różne stworzenia. Często siadał na parapecie i próbował rozpoznać poszczególne dźwięki.

Łóżko skrzypnęło i coś zimnego i wilgotnego pacnęło go w twarz. Otworzył oczy i niechybnie zaraz by krzyknął, gdyby tuż przy

jego głowie nie zabrzmiało głośne „miau”.

Kot! A niech to. Ależ go wystraszył. Przyciągnął kociaka i podrapał go za uszami, powoli się uspokajając. Niemal czuł, jak opuszcza go napięcie. Zaśmiał się w duchu. Z kotem to na pewno sobie poradzi. Po chwili mrużenie ucichło i Sam poczuł ciepło, bijące od zwiniętego na jego piersi kłębuszka. Niedługo potem usnął.

Kiedy się obudził, było jasno. Taką jasność, zorientował się od razu, dawać mogła jedynie poświata księżycy, odbijająca się od śniegu. Odsunął kota, wstał zeszywniały z łóżka, podszedł do okna i spojrzał na zegarek. Piąta trzydzieści. W oborze paliła się lampa. Ledwo widoczne żółte światło sączyło się zza zamkniętych drzwi na zewnątrz. Wciągnął ubranie i obolały powlókł się do kuchni. Na stole, oparta o kubek, leżała kartka od Jemimy: „Poszłam na ryby. Nie chciałam przeszkadzać kotu”. Po chwili zastanowienia Sam postanowił najpierw dorzucić do pieca. Na szczęście znalazł w sieni drzewo.

Psy obserwowały go przez chwilę, jednak bez szczególnego zainteresowania. Da im coś do żarcia? Nie. No, to można spać dalej. Podniósł Noodle i usiadł w fotelu. Zwinęła mu się na kolanach, ale przedtem tak go wylizala, że przypomniał sobie, iż powinien się ogolić. Machnął jednak na to ręką. Wody było mało, a zarost chronił twarz przed mroźnym wiatrem. Co prawda szanse na to, żeby urosła mu broda, nim włączą prąd, były nikłe.

Zdjął psiaka z kolan i wszedł do saloniku, by zadzwonić do nakładu energetycznego. Nie mieli do powiedzenia nic nowego - tylko tyle, że naprawa trochę potrwa i że prądu nie ma wiele domostw w

okolicy. Pokręcił gałką tranzystorowego radjka stojącego na kuchennym parapecie i znalazł lokalną stację. Nadawali właśnie „Wiadomości” i stąd dowiedział się, że podczas burzy śnieżnej jakiś helikopter zawadził o trację wysokiego napięcia i w ten sposób pograżył w ciemnościach połowę Dorset. A zatem, pomyślał Sam, ręcznego dojenia i noszenia wody ciąg dalszy nastąpi. Bosko. Zaparzył herbatę, włożył kalosze i palto i wyszedł na dwór.

Było zimno i rzeško. W jasnym księżycowym świetle widział kłęby pary swego oddechu, ale wiatr ustał, a za mniej więcej godzinę powinno wzejść słońce.

Przebrnął przez podwórze i pchnął drzwi obory. Uśmiech, jakim go powitała Jemima, sprawił, że od razu zrobiło mu się cieplej.

- Mój bohater! - powiedziała, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Podniosła się sztywno, założyła ręce na kark, przeciągnęła się i jęknęła cicho.

- Boli?

- Jak zawsze. Myślałam, że już się przyzwyczałam. A jak ty? Uśmiechnął się.

- Czuję wszystkie mięśnie, również te, o których istnieniu nie miałem do tej pory pojęcia. - Podał jej kubek z herbatą. - Jak ręce?

- Lepiej. Nawet ci nie podziękowałam. Spałam, kiedy się nimi zajmowałeś.

- Widzisz, tak działa mój magiczny dotyk, choć, prawdę powiedziawszy, usnęłaś, gdy poszedłem po maść.

Wypiła herbatę duszkiem i westchnęła.

- Pyszna. Miałam wielką ochotę na herbatę. Myślałam, że szybko uporządkuję krowy i pójde napić się czegoś ciepłego, ale dziś są naprawdę niemożliwe. Po prostu nie dają się doić. Chodzi chyba o to, że woda wystygła.

Dopił herbatę.

- Zaraz przyniosę ciepłej.

- Prawdziwy skarb z ciebie. Przypomnij, żebym podziękowała babci Mary za to, że mi cię wypożyczyła.

- A tak w ogóle - oparł się leniwie o ścianę - to gdzie jest ich farma? Pytam wyłącznie z ciekawości.

Zaczerwieniła się lekko.

- Za wzgórzem.

- Jakież trzysta metrów stąd?

- Mniej więcej.

- Czyli że wczoraj dałbym radę tam dojść.

- Raczej tak. Uśmiechnął się powoli.

- I pomyśleć, co straciłem.

W jej oczach dostrzegł nagle smutek i cień desperacji.

- A pewnie, pewnie - rzuciła popędliwie. - Przewracałbyś się teraz na drugi bok. - Wręczyła mu kubek. - Idź już lepiej.

Wrócił do kuchni, nalał gorącej wody do wiadra i przygotował dla Jemimy jeszcze jeden kubek herbaty, rozmyślając przez cały czas o tym, dlaczego dziewczyna zrobiła się taka smutna, gdy wspomniał o dziadkach. Czy sądziła, że mógłby sobie pójść? Że zostawiłby ją z tą masą roboty? No to go zupełnie nie znała. Zaniósł jej gorącą wodę i

herbatę, a potem naczepał wody do domu - do kuchni i do łazienki.

- Przynieść wody dla krów?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie wybierasz się do dziadków?

- Bez samochodu? Dobrze sobie! - Żartował oczywiście, ale Jemima kiwnęła głową, jakby był to argument.

- W takim razie... - Jej brązowozłote oczy zaiskrzyły się taką radością, że jeśli nawet gdzieś w głębi serca pielęgnował jeszcze złudzenia, iż ucieczka stąd jest możliwa, to w tym momencie rozwiały się jak poranna mgła. Nie umiałby jej opuścić, a gdyby nawet to zrobił, babcia przepędziłaby go z domu, nim zdążyłby przestąpić próg.

- Idę - powiedział i nie mógł pojąć, dlaczego perspektywa naniesienia stu pięćdziesięciu wiader nappełniła go taką radością, że miał ochotę głośno śpiewać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nadszedł wreszcie świt, i był to naprawdę wspaniały widok. Wiatr ucichł, śnieg skrzył się w słońcu i gdyby nie obezwładniające zmęczenie, Jemima byłaby oczarowana. Sam, mimo że tyle się narobił, tryskał energią. Słyszała, jak pogwizdywał wesoło, kursując z wiadrami, a teraz odgarniał śnieg spod drzwi obory i robił ścieżki od domu do kurnika, cieletnika i strumienia. Prawdę mówiąc, nie była zaskoczona jego aktywnością. Jako chłopiec nie potrafił usiedzieć spokojnie na miejscu.

- Gdzieś tu powinien być piasek, którym można by wysypać ścieżki - powiedziała, wychylając głowę z kurnika.

- A nie wiesz przypadkiem, gdzie mam zacząć szukać?

Rozejrzał się po kompletnie zasypanym śniegiem podwórku z taką miną, że aż musiała ukryć ogarniającą ją wesołość i w duchu przyznać mu rację.

- Daj spokój. Może wystarczy popiół z pieca? Rozchmurzył się od razu.

- Dobra myśl. Masz gdzieś metalowe wiadro?

- Stoi przy tylnym wejściu. Popiół już w nim jest. A przy okazji... czy mógłbyś to wziąć? - Podała mu koszyk z jajkami.

Zerknął na nie i przekrzywił głowę, puszczając oko.

- Ciekawe, co będzie na śniadanko? - Roześmiał się.

- Nastaw też wodę na herbatę. Zaraz ci pomogę wysypywać

ścieżki.

Zniknęła w kurniku, zebrała resztę jaj, nalała kurom wody, a potem zamknęła je i poszła do domu. Ciekawe, myślała, kiedy Sam zorientuje się - jeśli w ogóle do tego dojdzie - kim ona jest.

Postanowiła spokojnie poczekać i nic nie mówić. Gdy weszła do kuchni, owionęło ją przyjemne ciepło. Usiadła w fotelu i oparła stopy o rozgrzany piec.

- O, jak dobrze! - Przymknęła powieki.

- Hej, z drogi! - Mocne biodro trąciło ją w łydkę. - Usiłuję coś upitrasić.

Otworzyła jedno oko.

- Co mówisz?

- To, co słyszysz. Wysmaruj ręce kremem i nie wchodź mi w paradę. Masz masło?

Podniosła się, poszła po masło i mleko, pokroiła chleb i włożyła kromkę do tosteru.

- Zamierzałaś w ogóle zjeść jakieś porządne śniadanie? - sarknął.

Mruknęła coś pod nosem, wyjęła ze złością chleb z nie działającego tosteru i opadła na fotel.

- Jest chleb. Mało?

Pokiwał głową, zwracając ku niej te swoje zdumiewające granatowe oczy. Poczowała mocniejsze uderzenie serca. Naprawdę ją nieustannie zaskakiwał.

- Jaka jajecznicę lubisz?

- Na maśle, nie za gęstą.

- Wspaniale. No, to siadaj do stołu.

Ożywiła się, widząc na talerzu górę aromatycznej, wspaniale przyrządzonej jajecznicy. Zanurzyła w niej widelec i zapomniała o całym bożym świecie, łącznie z Samem i jego pięknymi oczami.

Przyglądał się z satysfakcją, jak Jemima pochłania jajecznicę, i nagle dał się ponieść jakiemuś dziwnemu uczuciu tkliwości. Przyłapał się na tym, że chciałby otoczyć tę dziewczynę opieką i od razu przestał się uśmiechać. On i opiekuńcze uczucia? Coś takiego! Do diabła, co mu się rojiło?

Nabrał jajecznicę widelcem, ale okazała się za rzadka i musiał się posłużyć łyżeczką. Fuj... Odsunął się od stołu, prawie przewracając kubek.

- Chcesz jeszcze herbaty? - spytał opryskliwie. Uniosła głowę i popatrzyła na niego niepewnie.

- Coś nie tak?

- Wszystko w porządku. - Westchnął. - Nalać ci jeszcze herbaty?

- powtórzył łagodniej.

- Proszę. - Podsunęła swój kubek.

Poszedł po herbatę, ale zainteresowało go coś za oknem. Odstawił kubki. Ścieżką szedł mężczyzna - wysoki, barczysty, prezentujący się dość niechlujnie. Nieoczekiwanie ogarnęła go nagła złość.

- Masz gościa - warknął.

- Gościa? - Podniosła się i stanęła obok niego przy oknie. -

Cholera, to Owen.

Podeszła do drzwi, za moment mocne pukanie poderwało z kąta psy. Sam cofnął się, myśląc ponuro, że to naprawdę nie jego sprawa, kto odwiedza Jemimę.

- Cześć, Jemima - usłyszał wesoły głos. - Pomyślałem, że zajrzę, bo bez prądu i generatora... Radzisz sobie?

- Mogło być gorzej... Wiesz, Owen... - Dalej nie usłyszał, bo jej słowa zagłuszyło szczekanie psów. Uciszył je, wrzucając im do misek swoją nie dojedzoną jajecznicę, po czym wrócił pod drzwi i podsłuchiwał.

- Na szosie zasypało samochód - opowiadał sąsiad. - Ktoś zawiązał na kijach seksowną czerwoną bieliznę, żeby oznaczyć miejsce.

- To moja własność. - Sam wyłonił się z sieni i stanął za plecami Jemimy, usiłując zdominować przybyłego. Było to trudne, mimo że mężczyzna stał na schodku niżej. To dziwne, ale jakiś prymitywny, pierwotny instynkt nakazywał Samowi przyćmić gościa. Ten jednak zmierzył go nieprzyjaznym wzrokiem i skrzywił się niemiłosiernie.

- Twoja, mówisz? No to fajnie. Kto by pomyślał, że nosisz takie cudeńka, ale widać wszystko jest możliwe.

Sam poczuł, że szyć oblewa mu gorąco.

- Samochód - warknął ze złością. - Samochód jest mój, nie bielizna.

Owen zerknął na Jemimę.

- Znaczą twoja.

Widział, jak krew odpływa z jej twarzy i miał ochotę rozgnieść

tego cholernego prostaka za ten jej wstyd. Wybąkała coś na temat czerwonego koloru i zaproponowała gościowi herbatę. Sam musiał go zatem przepuścić, ale zaraz odczuł prawdziwą satysfakcję. Jess zaczęła warczeć, szczerząc kły, a potem stanęła między gościem a Jemimą i wydała z siebie niski, ostrzegawczy pomruk. Sam odwrócił się, żeby nikt nie zauważył radości, jaką mu to sprawiło. Napełnił dzbanek, nalał herbatę do trzech kubków i patrzył bez zdziwienia, jak Owen wsypuje cztery łyżeczki cukru.

Gość ujął kubek swoją wielką owłosioną dłonią, uniósł go do ust i siorbnął głośno.

- No więc, jak sobie radzisz? - zapytał, zwracając się do Jemimy.

- Całkiem nieźle. Sam naniósł wody wiadrami, a ja doję, karmię... no, normalnie.

- Trzeba było zadzwonić. Przyszedłbym... Po co wpuszczać obcych. - Zerknął z niechęcią na Sama.

- Obcych? - powtórzył cicho Sam.

- No, miastowych. Jesteś chłopak z miasta, nie? Masełko. Pamięć podsunęła Samowi obrazy z odległych czasów, z tych wakacji, które spędzał u dziadków. Przyjrzał się uważnie Owenowi.

- Przypominam sobie pewnego chłopaka stąd... Miał na imię Owen. Była też dziewczynka... Nazywała się...

- Jem - odpowiedziała cicho. Spojrzeli sobie w oczy i nagle ją rozpoznał.

- Jem... Tak. - Uśmiechnął się. - To ty? Nie... Ty nie masz tyle... Musiałabyś mieć teraz... dwadzieścia osiem lat, nieprawdaż?

Skinęła głową.

- Zastanawiałam się, czy sobie przypomnisz. Poweselał jeszcze bardziej.

- Jasne, że pamiętam. Zmieniłaś się. Urosłaś... no, przynajmniej odrobinę. Wciąż jesteś jak świerszczyk. Nie powiesz chyba, że i ja się nie zmieniłem.

- Owszem, zmieniłeś się. Domyśliłam się tylko dlatego, że zadzwoniłeś do dziadków.

Kiwnął głową i zwrócił się do Owena:

- Tak czy owak, jak powiedziałem, ten chłopak, Owen, dokuczał Jem. Popłakała się, więc mu dołożyłem... Przypominam sobie, że ze łzami w oczach poleciał do mamusi. Oj, będzie kiepsko, pomyślała Jemima, podnosząc powoli kubek do ust.

- Byłem wtedy dzieciakiem. - Owen poczerwieniał na twarzy jak piwonia.

- A ona to nie? Jest od ciebie młodsza - powiedział Sam bez uśmiechu. Pragnął jak najszybciej pozbyć się tego gburą, który usiłował go stąd przepędzić. - Nie bój się, stary, już ja się o nią zatroszczę, a ty pędź do mamusi.

Owen odstawił głośno kubek, wstał, susem przemierzył kuchnię i trzasnął drzwiami. Chwilę później huknęły drzwi wyjściowe, a Jess, chowając powoli kły, zadrżała i wtuliła łeb w rękę Jemimy. Sam milczał nachmurzony. Źle się stało. Jemima odsunęła się od stołu i wstała. Suka, wyczuwając jej irytację, schowała się za nim.

- Po co to zrobiłeś?!

- To znaczy co?
- Dobrze wiesz, co. Nie udawaj niewiniątka. Obaj zachowaliście się jak idioci. Już myślałam, że ci dołoży.
- Tylko na to czekałem.
Prychnęła wzgardliwie.
- Nie masz już ośmiu lat, a na wypadek gdybyś tego nie zauważył... on jest od ciebie wyższy i potężniejszy.
- Od ciebie też. O wiele. I ma na ciebie chrapkę.
- Nie bądź śmieszny. To tylko sąsiad.
- Bla, bla, bla.
- Naprawdę.
- Bujać to my, ale nie nas. Facet aż się ślini na twój widok, dziecino. Ślepa jesteś, jeżeli tego nie widzisz.
- Mylisz się - powiedziała, cała czerwona. - Nigdy nie zrobił nic takiego, co by...
- Jeszcze nie. A co będzie, jak zrobi? Jeśli uzna, że dość się już naczekał i pora posunąć sprawę naprzód?
Roześmiała się zażenowana.
- Nie zrobiłby nic głupiego... a zresztą, skąd mogę wiedzieć, czy z tobą jestem bezpieczna?
- Oczywiście, że jesteś. Zawsze byłaś. Poza tym jestem za bardzo wykończony robotą, żeby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.
Patrzyła na niego przez chwilę i w końcu parsknęła szczerym śmiechem.
- OK. Ale już go więcej nie drażnij, dobrze? On ma ciągnik z

hydraulicznym podnośnikiem. Można nim przenieść kiszonkę i co tam chcesz, można też odgarniać śnieg. Jeśli będziesz grzeczny, wyciągnie twój samochód i będziesz mógł odjechać.

- Mówiliśmy już o tym. Powiedziałem: nigdzie się nie wybieram.
- W ogóle?

Raptem owładnęło nim dziwne, przenikające do głębi uczucie. Odwrócił się i wstawił kubek do zlewu. Oczywiście, że kiedyś będzie musiał ją opuścić. A wtedy ona zostanie na łasce Owena, tego prymitywnego, nieokrzesanego bubka.

Jasny gwint!

Z góry dał się słyszeć jakiś głośny chrzęst. Jemima uniosła głowę i spojrzała przez okno na dach szopy. Coś ponownie zachrzęściło.

- Co to? - Sam skierował wzrok w tę samą stronę.
- Chyba śnieg. Jest ciężki. Będę musiała go zrzucić, zaraz wejdem na górę.
- Ty? Po moim trupie.

- Da się zrobić. Uśmiechnął się szeroko.

- Na pewno. Ale na dach wejdem ja.

Wyszli na dwór i obejrzeni dach. Od strony szosy śniegu prawie nie było, ale z drugiej - tam gdzie wiatr nawiewał go ze wzgórza, potworzyły się niebezpieczne nawisy. Wyglądały jak grzywy fal.

- Zastanawiam się, jak to zdjąć - odezwał się Sam. - Ale się nazbierało, całe tony.

- Wuj Tom używał do tego ciągnika. Podstawiał wiadra, a ja

spychałam do nich śnieg miotłą.

- Ciągnik nie działa, więc nic z tego. - Rozejrzył się. - Drabina?

- Jest w oborze.

Wyciągnęli ją i Sam wszedł na górę. Szybko zorientował się w sytuacji. Dach był za stromy, żeby na nim stanąć, ale zwały śniegu mogły dać odrobinę oparcia. Jemima podała mu miotłę. Podparł się nią, stanął na dachu i mruknął coś, czego dziewczyna nie dosłyszała, ale mogła się domyślić, że to przekleństwo. Delikatne ostukiwanie nawisów nic nie dało. Jemima zeszła ze szczebla i stając po kolana w śniegu, zadarła głowę.

- Wal mocniej.

- Kto to robi, ja czy ty? - odburknął ze złością.

- Z przyjemnością zrobię to sama.

- Stój i nie ruszaj się z miejsca. Chcesz, żeby dach się zawalił?

Czuję, że cały aż chodzi. Czy śnieg się osypuje?

- Z tej strony nie. Musisz chyba wejść wyżej i puknąć mocniej końcem miotły.

- Uważaj, bo puknę, ale ciebie. Pozwól mi to robić po mojemu.

- Czyli bezskutecznie - zadrwiła, widząc, że przesuwając miotłą po oblodzonej powierzchni. - Stuknij! Mocniej!

- Na miłość boską, kobieto! - Ze złością walnął miotłą o dach i nagle zmienił się na twarzy. Rozległ się chrzęst, Sam stracił równowagę i naraz cała śnieżna pokrywa zaczęła się osuwać, a on, krzyżąc, razem z nią. Jemima z piskiem odskoczyła, ale śnieżna nawałnica podcięła jej nogi i dziewczyna upadła na plecy. Sam

przygniótł ją sobą, a zaraz potem przysypała ich lawina i na moment wszystko ucichło.

- A mówiłam, że trzeba walnąć mocniej.

Za ten triumfalny ton miał ochotę ją udusić, ale spojrzawszy jej w twarz, wymyślił o wiele lepszą zemstę. Starł śnieg z jej brwi i po prostu scałował przekorny uśmiezek. Znieruchomiała na moment i pomyślał już, że może niewłaściwie zrozumiał wyraz jej oczu. Kiedy jednak poruszyła udem i objęła go, z pełną radości satysfakcją pewnie przywarł do jej ust i sycił się prawdziwym pocałunkiem. Jego serce biło jak oszalałe, w uszach miał jeden wielki ryk. Było tak, jak w powieściach - nagle zatrzęsa się ziemia. Uniósł głowę i zdumiony spojrzał na Jemimę.

- Hej, nic wam nie jest?

Poderwał głowę. Popatrzył przez ramię na stojącego nad nimi Owena i zerwał się na nogi, zrzucając z siebie tony śniegu. Trzęsienie ziemi, niestety, nie miało nic wspólnego z pocałunkiem. Spowodowała je ogromna, żółta maszyna, stojąca teraz przy wejściu na podwórze. Zacisnął zęby.

- Nie, dzięki. A ty... nie masz co robić?

- Właśnie odśnieżam drogę. Pomyślałem, że pewnie chcesz się stąd jak najszybciej wynieść. Twój samochód będzie gotów do drogi dosłownie za minutę, możesz jechać.

- Zostaję.

- To się jeszcze zobaczy! - Owen ponuro spojrzał mu w oczy i wyszedł z podwórza.

Jemima powoli wygrzebywała się ze śniegu. Sam odwrócił się i podał jej rękę.

- Przepraszam cię.

- Za co? Za pocałunek czy za Owena?

- Za to, że spadłem i zwałem się prosto na ciebie. - Uśmiechnął się krzywo.

W odpowiedzi zachichotała jak mała dziewczynka i zamasyście otrzepała dżinsy.

- Nic sobie nie zrobiłeś?

- Nie. A ty?

Popatrzył na nią. Błyszczały jej oczy, we włosach miała pełno śniegu i była tak niewiarygodnie krucha... Nie darowałby sobie, gdyby coś jej się stało.

- W porządku.

- Wylądowałem na tobie.

- Zauważyłam. - Uśmiechnęła się. - Jesteś tu i tam twardszy, niż myślałam.

Poczuł, że robi mu się gorąco i odsunął się. Bał się, że jeszcze chwila, a zrobi coś głupiego.

- Pójdę po kluczyki. Będę mógł wprowadzić samochód na podwórze?

- Jasne, ale warto by je najpierw odśnieżyć. Zaraz poproszę Owena.

Zrobiła, co powiedziała, i już po chwili Sam przyglądał się ze złością, jak równiutkie ścieżki, których przekopanie kosztowało go

dwie godziny i ból krzyża, giną błyskawicznie, ścierane z powierzchni maszyną Owena. Szlag by to trafił! W dodatku Jemima zaprosiła tego głupka na herbatę. Wydobywanie samochodu trwało krótko i poszło sprawnie. Owen wypowiedział kilka lakonicznych uwag, wykonał parę ruchów swoim cudacznym monstrem, i po chwili było po wszystkim.

- Elegancki wozik, dobry na miasto - rzucił, patrząc na prawie nowe bmw, i poszedł sobie, z rękami w kieszeniach, pogwizdując, na herbatkę z Jemimą.

Sam tymczasem wyjechał z trudem na oblodzoną szosę i zaparkował na podwórzu. Na tylnym siedzeniu miał bukiet dla babci Mary. Postanowił go ze sobą zabrać. Kwiaty ożywiłyby kuchnię, a poza tym mogły choć trochę przyćmić triumf Owena.

Jess powitała go entuzjastycznie. Usiadła przy nim i warknęła na Owena.

- Dobry pies - powiedział, drapiąc ją za uszami. Jemima spojrzała na niego ostrzegawczo. Zrobił minę niewiniątka, ale nie dała się na to nabrać.

Wręczył jej kwiaty, wyjmując je uroczyście zza pleców. Owen zrobił wielkie oczy, a ona najwyraźniej się wzruszyła. Nagle pożałował, iż nie były przeznaczone dla niej.

- Chyba mi nie powiesz, że właśnie po nie specjalnie pojechałeś - powiedziała drwiąco, kryjąc prawdziwe emocje.

- Zawsze mógłbym skłamać. Ale nie... Wiozłem je dla babci, jednak pomyślałem, że sprawią ci przyjemność.

- I co jeszcze? Kompletna durnota - wymruczał Owen. Podniósł

się, wstawił kubek do zlewu, a potem, zerkając złośliwie na Sama, pochylił się nad Jemimą i musnął jej usta.

- Zajdź do nas, jakby ci czego było trzeba. Pomożemy ci, przecież wiesz... Gdybyś uznała, że nie dajesz rady z krowami, zawsze możemy je wydoić u nas. Mamy generator...

- Poradzimy sobie - rzucił wściekle Sam.

Zerknęła na niego z irytacją i słodziutko zwróciła się do swego sąsiada.

- Dziękuję. Bardzo jesteś miły. Pomyślę o tym, jeśli awaria prądu potrwa dłużej.

- I nie zapominaj, że zawsze chętnie odkupię od ciebie całe stado. Tak byłoby chyba najrozsądniej.

Sam wstał.

- Pewnie ci się spieszy - powiedział cicho, a Jemima ponownie zganiała go spojrzeniem.

Owen uniósł brew, zaszalutował Jemimie na pożegnanie i wyszedł, trzaskając drzwiami. Jess warknęła, zaskomlała, podbiegła do swojej pani i zaczęła ją lizać po rękach.

- Nie wydaje mi się, by szczególnie przepadała za twoim wielbicielem.

- A ja nie przepadam za żadnym z was - odcięła się, wstawiając kwiaty do wiadra, żeby ożyły po nocy bez wody.

- Czubicie się o mnie jak dwa koguty. Śmieszne.

- Nie masz już nic do roboty? - zapytał urażony tym, że traktuje go na równi z Owenem.

- Owszem, mam. Sprzątanie obory. Chcesz pomóc? Jeśli, naturalnie, wciąż upierasz się, żeby zostać. Jeżeli tak, to przynajmniej bądź użyteczny.

Zacisnął zęby i bez słowa poszedł za nią. Mógł sobie wyobrazić sporo rzeczy, w których mógłby się jej przydać, ale wynoszenie gnoju nie było tym,, o czym marzył najbardziej.

Był przydatny, o tak, i to nawet bardzo. Słabo go sobie przypominała z dzieciństwa, ale rzeczywiście tamto lato było weselsze od innych. Dużo się bawili, ciągle z czegoś chichotali. Zapamiętała też Owena z tamtego czasu. Marudził i był cały nieszczęśliwy, ponieważ, zanim pojawił się Sam, miał ją tylko dla siebie. Zupełnie o tym zapomniała. Uśmiechnęła się, przypominając sobie ich ówczesną bójkę. Stare czasy, pomyślała, wracając myślami do rzeczywistości, która przedstawiała się mniej różowo.

Popatrzyła na krowy, które były dumą i radością jej wuja. Owen wciąż ponawiał propozycję ich kupna, ale nie miała pewności, czy był to jedynie pretekst do odwiedzin, czy szczerze zainteresowanie jej stadem. Nieważne. Stanowiły jej utrzymanie i nie zamierzała rozstawać się z nimi ani dla pieniędzy, ani z miłości. Poza tym nie kochała i nie umiałaby pokochać Owena. Nie robił na niej najmniejszego wrażenia.

Co innego Sam... Zerknęła znad wideł w jego stronę. Oczyszczył swoją połowę i kręcił się w drugim końcu obory, obok pompy próżniowej, zasilającej mechaniczną dojarkę. Miał szersze ramiona, niż jej się wcześniej wydawało, i nie był wcale taki wydelikacony...

Pomyślała o tamtym przelotnym pocałunku, którym nie zdążyła się

nasycić, i stłumiła jęk. Sam był kimś, kto tylko patrzeć, jak zniknie. Nie trzeba jej było tego rodzaju kłopotów. Jeśli miał rację co do Owena, a chyba miał, to i tak szykował się niezły pasztet.

- Jem... Chodź, zerknij na to.

Majstrował przy czymś, pochylony, ale kiedy spojrzała w jego kierunku, odwrócił się i przywołał ją ruchem głowy.

- Znalazłem silnik Listera. Do czego służy? Oparła widły o ścianę i podeszła bliżej. Odczyścił rękawem nieduży metalowy przedmiot znajdujący się w stercie zbędnego szmelcu.

- Półtora konia mechanicznego - powiedział i spojrzał na pompę.

- Jak myślisz, czy kiedyś mógł to być napęd do dojarki?

Przyjrzała się urządzeniu, wyobraziła sobie, jak mogło wyglądać w czasach świetności, i coś jej zaczęło świtać.

- Możliwe. Sądziś, że dałoby się to uruchomić?

- Nie wiem. Potrzebny by był odpowiedni pas... o, tego typu. -

Wskazał płaską, szeroką taśmę oblepioną pajęczynami, wiszącą na ścianie razem z łańcuchami i sznurami.

- Wątpię, czy...

Nie czekając, aż dziewczyna dokończy myśl, zdjął pas z haka, otrzepał go z kurzu i przymierzył do maszyny. Długość była odpowiednia.

- Wygląda mi na zapasowy - mruknął. - Chyba w ogóle nie był używany.

- Umiałbyś go wymienić? Czy to naprawdę mogłoby działać?

Byłoby wspaniale, gdyby potrafił uruchomić dojarke, ale wołała

nie robić sobie nadziei.

- Tak, ale potrzebna mi będzie benzyna.

- Jest w szopie z ciągnikiem.

- A co mu właściwie dolega? - zapytał. - Może umiałbym naprawić...

Zaczerwieniła się.

- Nie sądzę. Popękały bloki, zapomniałam wlać płyn zapobiegający zamarzaniu.

Ukrył szybko uśmiech, lecz zdążyła go dostrzec. Kusiło ją, żeby mu dołożyć, ale zrezygnowała. Musiałaby być niespełna rozumu, żeby działać przeciwko sobie.

- Pójdę po benzynę.

Miała nadzieję, że benzyna się znajdzie. Powinna być - zwykle trzymała jakiś zapas do kosiarki i do ciągnika, ale mogło się zdarzyć i tak, że zużyła ją do samochodu i zapomniała uzupełnić. Na szczęście w szopie stały dwa prawie pełne kanistry. Zniosła je Samowi.

- Poprawił ci się humor, co? - Wlał trochę benzyny do zbiorniczka. - Teraz woda.

- Po co?

- Tutaj jest zbiornik na wodę - wyjaśnił, wskazując owalny otwór u góry maszyny.

Gdy przyniosła wodę, napełnił zbiornik, po czym wstał, szarpnął mocno za uchwyt i... trach! Sam aż przysiadł na słomie, z urwaną korbką w palcach. Zerknęła na niego, tłumiąc śmiech.

- Pierwsze koty za płoty.

Westchnął głęboko i przez chwilę się nie odzywał. Pomyślała, że liczy w duchu do dziesięciu.

- Masz korbę do ciągnika? - zapytał spokojnie, wstając i otrzepując siedzenie.

- Zaraz przyniosę.

- A jakieś narzędzia?

- Są w warsztacie. Wuj Tom miał tego całe mnóstwo.

- No, to chodźmy, zobaczymy.

Pokazała mu, gdzie co jest, zaproponowała swoją pomoc, ale tylko skaleczyła się, gdy nieszczęsna korbka po raz trzeci zsunęła się z nasadki.

- Wiesz co? Pójdę lepiej do kuchni. - Zabrała wiadro z mlekiem i zostawiła go samego.

Przygotowała ryżowy pudding i krem z mleka i jaj, nastawiła mleko na śmietankę. Przyszło jej na myśl, że dobrze byłoby zrobić kwaśną śmietanę z całego mleka, które stało w chłodziarce. Nigdy tego nie robiła, ale Mary mogłaby ją wesprzeć dobrą radą. Zatelefonowała do niej.

- Jemima? Cześć, kochanie - przywitała ją z radością pani King. - Czy Sam okazał się pożyteczny?

- Nawet bardzo. Dziękuję, że mi go sprezentowałaś. I przepraszam.

Mary roześmiała się.

- Nie masz za co. Trochę gimnastyki dobrze mu zrobi.

- Teraz właśnie gimnastkuje się z maszyną, którą usiłuje

naprawić... Ale dzwonię w innej sprawie. Mam mnóstwo mleka i nie chcę, żeby się zmarnowało, a już oddzieliła się śmietanka. Pomyślałam, że warto by zrobić śmietanę, ale nie umiem. Może ty wiesz, jak się do tego zabrać?

Mary oczywiście wiedziała. Jemima przygotowała garnki, zjadła trochę śmietanki prosto z bańki i zajrzała do obory.

- Jak ci idzie?

- Nawet nie pytaj - odwarknął, zeszła mu więc z oczu i wróciła do kuchni.

Zbierała śmietankę, pasteryzowała ją i krzątała się, bardzo z siebie zadowolona, a kiedy krem ostygł, przybrała go kandyzowanymi owocami i wyjęła z szafki ostatni słoiczek truskawkowego dżemu Mary. Lunch gotowy, pomyślała z satysfakcją, nałożyła kalosze, otworzyła tylne drzwi i znieruchomiała ze zdumienia. Z obory dobiegał warkot maszyny. Silniczek co prawda niemiłosiernie rzeźił i zacinał się co chwilę, a wreszcie ucichł, ale wszystko to znaczyło, że udało się ją w ogóle uruchomić! Uradowana Jemima przebiegła przez podwórze i dosłownie zderzyła się z Samem.

- Działa! - wykrzyknęła z radością.

Uśmiechnął się krzywo, ale w tym momencie wybaczyłaby mu o wiele gorsze rzeczy. Niezależnie od tego, że była wyjątkowo uradowana jego dokonaniem, niezwykle się jej podobał z tą swoją nieogoloną, ubrudzoną, a jednak szczęśliwszą niż w dniu przyjazdu twarzą i usmolonymi rękami. Na jednej zauważyła krew.

- Skaleczyłeś się! Wzruszył ramionami.

- Stuknąłem kostkami o podłogę, kiedy odleciała korbka. Chodź zobaczyć. Cud techniki to nie jest, trzeba będzie to i owo podokręcać, ale myślę, że powinna działać.

Znaleziony pas był odpowiedni, silnik działał, ale pompa próżniowa - nie.

- Ten cholerny pas wciąż się ześlizguje - mruknął ze złością.

- Dać ci melasy?

- Melasy? A niby do czego?

- Żeby pas był lepki. Wuj Tom jej używał. Stoi tam, na górze.

Wysoko na półce, między starą puszką farby a zmiętymi szmatami, stał zardzewiały mały baniak.

- Melasa - burknął pogardliwie Sam, sięgając na półkę. Zdjął pokrywkę, cienko posmarował pas i zakręcił korbką. Działało! Z uśmiechem odwrócił się do Jemimy. - No, to masz, naprawiłem tę twoją maszynę - powiedział rozpromieniony, ale ona, ku jego najgłębszemu zdumieniu, wybuchnęła płaczem.

- Hej, co ty?

Chlipnęła i odwróciła głowę.

- Przepraszam, głuptas ze mnie. Przypomniał mi się wujek Tom.

Poczuła na ramieniu mocną, ciężką rękę.

- Napijemy się herbaty?

Kiwnęła głową, pociągnęła nosem po czym otarła go wierzchem dłoni.

- Zaraz zrobię... Powinieneś to zakleić plastrem. - Popatrzyła na krwawiące skaleczenie i znów pociągnęła nosem.

- Zostawiam to tobie. - Zaburczało mu w brzuchu. - Bo na coś do jedzenia to pewnie wielkich szans nie mam?

- Naprawiłeś maszynę, więc przymknę oko na tę zgryźliwość.

Zrzucili kalosze i weszli do kuchni.

- Co takiego? - Zrobił wielkie oczy. - Ciasteczka, i to z owocami?

Roześmiała się.

- A ryżowy pudding i krem z jajek i mleka czekają w piecyku.

Jak się dysponuje tylko mąką, jajkami, mlekiem i śmietaną, to nie należy oczekiwać zbyt wykwintnego i urozmaiconego menu.

- Dla mnie bomba.

Wypił trzy filiżanki herbaty, spałaszował osiem ciasteczek z owocami i prawie cały krem.

- Nie przejmujesz się, widzę, cholesterolem. - Zachichotała, przyglądając się, jak Sam zlizuje krem z warg.

- Byłoby to co najmniej mało taktowne, skoro zadałaś sobie tyle trudu. - Uśmiechnął się tak, że aż zrobiło jej się gorąco.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna za tę maszynę. Krowy zdecydowanie nie lubią ręcznego dojenia.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Lubię naprawiać stare urządzenia.

Kiwnęła głową.

- Pewnie teraz niedługo pojedziesz. Samochód już odzyskałeś, a ja poradzę sobie z dojeniem.

- A co będzie z wodą? Wyprostowała plecy.

- Załatwi się.

- Wiem, ale jak pomyślę, że ten głupek będzie znowu miał szansę, by się wykazać, robi mi się niedobrze.

Roześmiała się, aż nieprzyzwoicie uradowana tym, że nie spieszycie się z wyjazdem.

- W takim razie - powiedziała z uśmiechem - idę dość, a ty noś ciężkie wiaderka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Chociaż benzyna się kończyła i maszynę coraz trudniej było włączać, dojenie trwało połowę krócej niż rano. Posprzeczali się trochę z Samem o drobiazgi, ale świadomość, że można zrobić wszystko i nie padać z nóg, napełniła Jemimę ogromną radością. Wyszła z obory z lampą w rękę i zobaczyła, że Sam naniósł wody dla cieląt.

- Skończyłeś? Kiwnął głową.
- A ty?
- Też. Mają już siano na noc. Sam...
- Słucham?
- Dziękuję.

Milczał przez dłuższą chwilę, po czym uśmiechnął się z prawie niezauważalnym przymusem.

- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Kłamczuch! Ruszyli w stronę domu.

- Pamiętasz, co mówiłaś? Że nie ma nic za darmo? Roześmiała się.

- Mów wprost - jesteś głodny, tak?

- Zjadłbym konia z kopytami. Masz coś treściwego do jedzenia?

- A na co masz ochotę?

- Wszystko, byle nie kurczaka ani wołowinę.

- Co za pech.

I faktycznie, w zamrażarce znajdowały się jedynie dwie porcje kurczaka, pół kilograma wołowiny, sześć rybnych paluszków oraz kilka kostek lodu, puszka groszku i kawałki podartej plastikowej torby.

- Zakupów to ty dziś nie robiłaś - powiedział z ironią, zaglądając do środka.

- Może i robiłam. - Zaśmiała się. - Moja zamrażarka zawsze wygląda równie smętnie i ubogo.

Popatrzył na niebo. Zbliżała się pełnia księżycy, nieba nie zasnuwały chmury. Było zimno, ale jasno.

- Moglibyśmy się przejść do moich dziadków.

- Niczego nie będą mieli...

- Mogą mieć. Babcia zawsze trzyma w piekarniku jakąś mięsną zapiekankę, a poza tym spodziewali się mnie.

Myśl o prawdziwym posiłku wydała jej się niezwykle kusząca.

- No dobrze, ale najpierw zadzwoń.

Zniknął w saloniku i chwilę później wrócił uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Zapiekanka już się podgrzewa. Powiedziałem, że zaraz ruszamy

w drogę. Babcia zaproponowała też, żebyśmy wzięli coś do przebrania
- możemy się u nich wykąpać. Dziadkowie mają termę.

Zabrali rzeczy, gwizdnęli na psy i ruszyli polem na skróty.
Przenikliwy ziąb dał się we znaki Noodle. Suczka trzęsła się tak, że
musieli ją nieść. Jess natomiast pomknęła przodem i kiedy dotarli na
miejsce, czekała na nich zwinięta przy kuchni. Już w sieni zapachniało
domowym jedzeniem. Mary powitała ich z otwartymi ramionami,
serdecznie dziękując za śmietanę, którą przyniosła jej Jemima. Dziadek
Dick był mniej wylewny, ale też bardzo się na ich widok ucieszył.
Wyraz jego oczu świadczył o tym, jak bliski jest mu Sam.

- Przepraszam, że wam go ukradłam, od wczoraj powinien być
tutaj - sumitowała się Jemima.

- Nie opowiadaj głupstw! - Babcia Mary machnęła ręką. - Co
chcecie najpierw? Brandy, herbaty, wykąpać się czy może jeść?

- Brandy. - Sam nawet się nie zawahał.

- Herbatę w wannie - powiedziała Jemima. Roześmiał się.

- Ot, kobieta. Założę się, że będziesz tam siedziała bez końca.

I tak się faktycznie stało, ale tylko dlatego, że usnęła ze
zmęczenia. Obudziło ją energiczne pukanie do drzwi.

- Wylaż już! Teraz ja - wołał Sam.

Mruknęła pod nosem coś niecenzuralnego, wyszła z wanny i
owinięta ręcznikiem, który dała jej Mary, otworzyła.

- Nie rządź się - rzuciła ostro.

- Też mam ochotę wykąpać się. Pociągnęła nosem i kiwnęła
głową.

- Słuszna decyzja. Coś tu śmierdzi.

- No, to pospiesz się.

Weszła do najbliższego pokoju, żeby się przebrać, i z brudnymi ciuchami w torbie zbiegła na dół. Dick wcisnął jej do ręki kieliszek brandy, Mary jeszcze raz podziękowała za śmietanę. Jemima siedziała rozgrzana kąpielą i senna, niezdolna myśleć o niczym innym, jak tylko o Samie, chlapiącym się nago w wannie. Zamilkła w środku jakiegoś zdania, a dziadkowie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

- Przepraszam - bąknęła. - Jestem zmęczona.

- Bardzo ci ciężko?

- Z Samem nie. - Spojrzała w życzliwą twarz Mary. - Bez niego chyba bym się załamała.

- W takim razie dobrze, że ci się nawinał.

- Oszukałaś go... Mary uśmiechnęła się.

- Tylko troszeczkę. Szosą od ciebie to naprawdę prawie cztery kilometry, bo trzeba by jechać przez wioskę.

- Nie tłumacz się. Jestem ci ogromnie wdzięczna.

- Dick, kochany, czy nie trzeba dorzucić drzewa do kominka w saloniku? Wydaje mi się...

Dziadek podniósł się posłusznie i wyszedł. Mary usiadła przy Jemimie i przykryła jej dłoń swoją.

- Radzisz z nim sobie? Jemima roześmiała się cicho.

- Jest zazdrosny o Owena.

- Zawsze był. I pomyśleć, że od czasu gdy byliście tu oboje na

wakacjach, minęło dobre dwadzieścia lat.

- Tak. Zapomniałam, jak się wtedy nie cierpieli. Mało brakowało, a pobiliby się dzisiaj w mojej kuchni.

- Niesamowite! Od wieków nikt się o mnie nie bił. Jemima zachichotała.

- Wierz mi, to było okropne. Skakali sobie do oczu jak dwa czupurne koguty.

- To dobry znak. Nie zachowywałby się tak, gdybyś go nie obchodziła.

- Ale ja wcale nie chcę, żeby się mną interesował.

- Kto? Owen? Znowu o nim? - warknął Sam, wchodząc do kuchni.

Babcia Mary poderwała się, gestem nakazując Jemimie milczenie.

- Jem właśnie mi powiedziała, że on zaczyna jej działać na nerwy.

- Nic takiego nie powiedziałam! - sprzeciwiła się Jemima, zerkając na Sama. Był ogolony, miał przygładzone włosy, ale... Śmieszne, ale wołała, gdy był trochę brudny i nie taki elegancki. - Jest bardzo uczynny.

- No pewnie. I ma to swoje świejące cacko.

- Zazdrościsz mu, ot co.

- Nie muszę mieć ciągnika, żeby robić wrażenie na damach - odciął się, a babcia Mary trzepnęła go dłonią po siedzeniu.

- No, chodźcie, wrzucicie coś do żołądka. Przynajmniej trochę

ładniej pachniecie. Brudne ciuchy zostawcie tutaj, upiorę je. No, a co do kolacji...

W powrotną drogę wyruszyli krótko przed północą. Byli nieprzytomnie objedzeni, a w głowach szumiało im od brandy, którą wlewał w nich dziadek. I wszystko byłoby bardzo pięknie, gdyby Sam nie zawadził o gałąź i nie runął w śnieg. Zaśmiewając się do rozpuku, Jemima usiłowała go podnieść, ale przewrócił się jeszcze raz, pociągając ją za sobą. Wylądowała na jego piersi i nagle obojgu odeszła ochota do śmiechu. Sam wymruczał jej imię, odgarnął włosy z twarzy i spojrzał na nią pytająco.

Gdyby go pocałowała, gdyby choć leciutko musnęła jego wargi, po powrocie do domu dokończyliby tę romantyczną scenę w łóżku. Było to tak samo pewne, jak to, że jutro wstanie słońce, kolejna krowa dostanie zapalenia wymienia, a Owen będzie się dopraszał, żeby mu odsprzedać stado. Jemima wiedziała też, że byłoby to szaleństwem, ale nie miała pewności, czy znalazłaby w sobie dość siły, by temu zapobiec. Pochyliła głowę, on uniósł swoją i raptem coś gorącego i mokrego dotknęło jej policzka, a psia łapa na karku przygniotła jej twarz do śniegu.

- Spadaj, psie - powiedział wesoło Sam, spychając Jess, ale czar prysł. Jemima poderwała się, pomogła Samowi wstać i otrzepała go ze śniegu. Jess tymczasem skakała wokół nich i szczekała uszczęśliwiona, podczas gdy mała Noodle czekała cierpliwie, aż któreś z nich weźmie ją znowu na rękę. Gdy przestąpili próg domu, zegar wybijał dwunastą.

- No to jesteśmy, Kopciuszk. - Przepuścił ją przodem, nie zwalniając uścisku. W kuchni było ciepło. Sam położył Noodle na fotelu przy piecu, a Jemima zapaliła lampę, otrzepała dżinsy ze śniegu i wstawiła wodę. Myślała właśnie o tym, czy Sam pocałuje ją na dobranoc i jak to się dalej potoczy, gdy rozległo się łomotanie do drzwi.

- Jemima! Gdzie byłaś? Co z tobą?

Uchyliła drzwi i ledwie spojrzała na Owena, zaczęła się śmiać. Miał taką minę, że nie była w stanie się opanować.

- Co się dzieje? - wykrztusił. - Nie było cię.

- Byliśmy u państwa Kingów na kolacji. Jesteśmy cali i zdrowi.

- Nie miałem pojęcia, gdzie się podziałaś. Mogło ci się przecież coś stać.

Zdusiła śmiech.

- A ja nie wiedziałam, że przed wyjściem mam się meldować u ciebie.

- Martwiłem się. Ty jesteś w ogóle świrnięta, a on to zwykły mieszczech. Mogłaś wpaść w zaspę.

- Bez przesady. - Otworzyła szeroko drzwi - Wejdz, proszę. Nastawiłam wodę na herbatę.

- Coś podobnego! Dziwna pora na wizyty, a poza tym - zwrócił się napastliwie do Sama - po coś ty tu wrócił? Trzeba było zostać u rodziny. Szosa jest już przejezdna, a twój elegancki wozik tylko czeka, by go uruchomić.

Sam udał, że nie dosłyszał końcówki.

- Faktycznie, dziwna pora na odwiedzin. Zastanawiam się, czemu uznałeś za stosowne przeszkadzać Jemimie o tak późnej godzinie. Przecież mogła już leżeć w łóżku.

- Właśnie tego się obawiałem. Coś mi się wydaje, że potrzebuje przyzwoitki.

- Zgadza się. Ciekawe tylko, kto i przed kim powinien ją chronić. Odstawiła głośno czajnik.

- Przestaniecie wreszcie?! - Spojrzała na nich niechętnie.

- Nie potrzeba mi przyzwoitki ani tego, żebyście się o mnie kłócili... Sam wrócił, żeby mi pomóc nosić wodę.

- Dobrze wiesz, że mogę ci ją przywieźć ciągnikiem, tak jak latem, kiedy pękła rura. Wystarczy, że poprosisz.

- Ale cię nie poprosiła.

- Byłoby lżej - powiedziała, czując się winna za w gruncie rzeczy niepotrzebną harówkę Sama. Jednak od razu pożałowała swoich słów. Owen nadał się, a Sam wyglądał jak gradowa chmura.

Owen wstał z ociąganiem.

- No, to do jutra. Daj sobie spokój z herbatą. Późno już, idę spać. Tobie radziłabym to samo, skoro masz dość. Chyba że zagnamy twoje krowy do nas.

- Nie ma potrzeby. Sam naprawił starą dojarkę wuja.

Zaskoczony informacją Owen naburmuszył się jeszcze bardziej. Odprowadziła go do wyjścia, musiała jednak jeszcze poradzić sobie z Samem.

- Nosilem tę wodę z przyjemnością - zaczął.

- Ale ja mam wyrzuty sumienia. Owen może to zrobić szybko i bez wysiłku.

- Nie skarżyłem się - powtórzył z uporem.

- Wiem, ale teraz możesz już pójść i zostać u dziadków, przecież przyjechałeś, żeby z nimi pobyc.

To, co mówiła, było niezaprzeczalnie logiczne. Mimo to podniósł się i bez słowa poszedł z herbatą na górę, rozwiązując w ten sposób problem mniej czy bardziej czułego pożegnania na dobranoc. Zresztą, pomyślała, może i dobrze, że tak się to skończyło. I bez romansu z mężczyzną z wielkiego świata jej życie było wystarczająco skomplikowane. Nie wiedziała dokładnie, kim był z zawodu. Architektem? Inspektorem budowlanym? Jakiś czas temu Mary wspominała, że był nominowany do jakiejś tam nagrody. Powinna go o to spytać, zakładając, że Sam w ogóle zechce z nią jeszcze rozmawiać. Nie było to wcale takie pewne.

Leżał w lodowatym łóżku, gapił się w sufit i starał się pojąć, dlaczego zapałał aż taką nienawiścią do Owena i czemu właściwie tak go rozzłościło, że nie będzie już musiał godzinami targać wody. Nie cierpiał tej roboty, więc dlaczego, kiedy mu ją odebrano, wpadł w furję? Wyjaśnienie mogło być tylko jedno - nie będzie już miał pretekstu, żeby przedłużyć pobyt u Jemimy.

Kot zamruczał i wczepił się pazurkami w jego pierś.

- Ty też zamierzasz mnie trochę pomęczyć? - wyjęczał udęczony. - Sprzymierzyłeś się z tym gburem?

Kot udrapał go.

- Genialnie. Cudownie. - Odrzucił kołdrę, wziął kota za kark i wyrzucił za drzwi.

Jemima właśnie wychodziła z łazienki.

- On drapie - rzucił w jej stronę.

Nachyliła się, żeby podnieść zwierzaka. Światło lampy zaśniło na jej włosach i ozłociło twarz. Wyglądała jak anioł. Oczy dziewczyny skrzyły się żywą inteligencją, a na miękkich, stworzonych do pocałunków wargach błąkał się słodki, niewinny uśmiech.

I właśnie dlatego Sam nienawidził Owena Stockdale'a.

Rankiem obudził go warkot ciągnika. Wyrzwał przez okno i zobaczył wielki polietylenowy zbiornik podwieszony na podnośniku maszyny Owena. Ciekawe, ile wiader się w nim mieściło. W każdym razie dużo. No cóż, jestem zatem wolny, pomyślał Sam ponuro. Mógł się przenieść do dziadków i zastanowić w spokoju nad swoją przyszłością, bo w gruncie rzeczy po to tu przyjechał.

Zaciągnął firankę, ubrał się i zszedł do kuchni. Piec prawie ostygł, więc podrzucił drzewa, zagotował wodę i zaparzył dzbanek herbaty. Kiedy usłyszał, że ciągnik wyjeżdża z podwórza, zaniósł kubek Jemimie. Podziękowała mu z takim cudownym uśmiechem, że od razu zapomniał o spaniu, ciepłym łóżku i w ogóle o wszystkim.

- Mogłeś sobie jeszcze poleżeć - powiedziała, ale pokręcił głową.

- Obudził mnie ciągnik. Poza tym przyzwyczailem się do wczesnego wstawania. Często już przed siódmą jestem na budowie.

- Jesteś architektem? Pracujesz, zdaje się, w Londynie...
- Jeszcze tak.
- To znaczy... - Zmarszczyła brwi. Westchnął.
- Powiedzmy, że nie wiem, co dalej. Wiem tylko tyle, że nie dam rady tak tyrać do końca życia. Nie jestem przekonany, czy chcę żyć stale pod taką presją, wciąż pilnować terminów i użerać się z ludźmi. Od życia powinno wymagać się czegoś więcej.

- Rozumiem, co masz na myśli. Rozejrzył się wokół.
- Ty już znalazłaś swoje szczęście?
- Tutaj? - Zaśmiała się cicho. - O, nie! To tylko przerwa w życiorysie. Nie wiem, co zrobię z farmą. Myślałam o swojej przeszłości. Byłam prawniczką, pracowałam w Londynie. Kiedy wuj Tom zachorował, zwinęłam żagle i przyjechałam tutaj, żeby się nim opiekować. Wtedy dużo myślałam o tym, co właściwie chciałabym robić w życiu...

- A tymczasem wujek umarł i zostawił ci to wszystko na głowie.
- Dokładnie. Zdecydowałam, że powinnam przez jakiś czas poprowadzić gospodarstwo i dobrze się nad wszystkim zastanowić. No i nadal nie wiem, co robić... Może sprzedam Owenowi bydło, zamieszkać tu na stałe i znajdę pracę w Dorchester. Nie wiem. Na pewno nie wrócę do tego, czym zajmowałam się dawniej.

- Dlaczego? Co ci tak dopiekło?

Zaciekawiała go ta drobna, nieugięta kobieta, która rzuciła wszystko, żeby zaopiekować się umierającym wujem, a w rezultacie skazała się na harówkę, do jakiej nie przywykła, i życie w łańcuchach

spartańskich warunkach.

- Dużo by opowiadać. Zajmowałam się rozwodami. Musiałam się użerać z całą masą nieciekawych ludzi, dbających wyłącznie o własne tyłki i wydzierających sobie dzieci. Miałam tego po dziurki w nosie. Powody rozwodu były często tak błahe, że aż się zastanawiałam, czy ci ludzie, biorąc ślub, choć przez moment zastanowili się, czy rzeczywiście chcą być razem.

- Może i nie.

- Może. - Wzruszyła ramionami. - Ale w takim razie po co im to było?

Usiadła na odwróconym do góry wiadrze i wskazała Samowi wiązkę słomy. Przysiadł na niej, oparł się o ścianę i popijając herbatę, przyglądał się krowom. Jedna z nich wspięła się na zad drugiej.

- Byk? - Spojrzał zaintrygowany na Jemimę.

- Nie. Ta mała ma po prostu ochotę. Muszę wezwać kogoś z CSI. Dwie są już gotowe.

- Gotowe do czego? - Nie do końca rozumiał, o czym właściwie rozmawiają, a może zresztą tak naprawdę nie chciał tego wiedzieć.

- Do zapłodnienia. Ci z CSI...

- Co to jest CSI?

- Centrum Sztucznej Inseminacji. Przywiozą zamrożone nasienie i...

Ze śmiechem podniósł ręce do góry.

- Dobra, rozumiem. A zatem te panie mają chrapkę na seks, tak?

- Tak. - Uśmiechnęła się szeroko. - Chciałam zadzwonić do

Centrum w piątek, ale prognoza pogody była taka, że nie miało to sensu. Owen mówił, że drogi są już przejezdne, więc skontaktuję się z nimi jutro. - Oddała Samowi kubek i wstała. - No, do roboty. Maszyna bardzo ułatwiła mi życie. Wielkie dzięki.

Podniósł się i nagle, odczuwając, jak bardzo góruje nad nią wzrostem i siłą, pomyślał ze zdziwieniem, jak to możliwe, żeby takie chucherko miało w sobie tyle hartu.

- Kiedy skończysz?

- Jak uprzątnę ściółkę. Jest śnieg, więc krowy są cały czas zamknięte, i czyszczenie tego wszystkiego trwa dłużej.

- Pomóc ci? Zaczęlbym już teraz...

- Chciałbyś?

Była taka uradowana, że aż się roześmiała.

- Wprost nie mogę się doczekać.

- Nic nie musisz...

- Wiem.

Spotkali się oczami i po chwili Jem znowu się uśmiechnęła. Poczuł, jak robi mu się ciepło na sercu. Zabierając się do roboty, pomyślał z niepokojem, że dla Jemimy zrobiłby wszystko.

Dokończyła dojenie i wylała zbędne mleko. Bardzo żałowała, że musi tak postąpić, ale póki nie było prądu, nie dało się zrobić nic innego. Sam wyrzucał widłami gnój. Pogwizdywał przy tym i mrucał, i gdyby nie znała prawdy, gotowa byłaby pomyśleć, że sprawia mu to przyjemność.

Ciekawe, dlaczego jeszcze się nie ożenił... Był przystojny, o, nawet bardzo, i mimo pożałowania godnej skłonności do dominowania, mógłby być z pewnością dobrym mężem. Nie dla niej oczywiście. Była, po pierwsze, zbyt zaharowana, żeby się z kimkolwiek wiązać, a po drugie, od małżeństwa odstraszały ją doświadczenia wyniesione z pracy. Widziała zbyt wielu zawiedzionych, pozbawionych złudzeń i marzeń ludzi. Te wszystkie złamane obietnice, przelane łzy... nie, wszystko, tylko nie to.

Podeszła do Sama i prawie wyrwała mu widły z rąk.

- Dość. Teraz ja. Popatrzył na nią niepewnie.
- Mogę dokończyć.
- Nie, nie, dziękuję. Lepiej przebierz się i jedź już do dziadków.

Będą w siódmym niebie...

Odebrał jej widły i popatrzył na nią badawczo.

- Zrobiłem coś nie tak? - spytał miękko.

Miała głupią, straszliwie głupią chęć wtulić głowę w jego ramię i płakać, płakać, płakać.

- Nie. To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Owen...

- Z nim też nie. I w ogóle nie ma o czym mówić. Po prostu jedź już. Poradzę sobie, naprawdę.

Kiwnął głową i odszedł, odstawiając widły przy drzwiach.

Patrzyła, jak idzie przez podwórze z Jess u nogi i wchodzi do domu. Cholera! A jednak rozsądek nakazywał obyć się bez niego. Im mniej komplikacji, tym lepiej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Brakowało jej go. Było to doprawdy aż śmieszne, bo przez okrągły rok radziła sobie sama, a on spędził tu zaledwie dwa dni. A jednak tęskniła. Brakowało jej jego śmiechu, towarzystwa, irytującego pogwizdywania.

Odczuła też jego brak, gdy jeszcze tego samego dnia po południu przyjechał ciągnikiem Owen. Nawiózł wody i przyszedł do cieletnika. W jego zachowaniu nie było niczego niepokojącego. Zwyczajnie, stanął tuż obok, zwalisty i ciężki, i zapytał, czy Sam wyjechał.

- Jest u dziadków.

Zwycięski błysk w jego oczach nieco ją zezłościł.

- Do niczego nie był tu potrzebny.

- Mnie był potrzebny - sprostowała, zirytowana autorytatywnym tonem. - Bardzo mi pomógł z wodą.

- Trzeba było zwrócić się z tym do mnie. Wiesz, że chętnie bym się tym zajął. Dla ciebie - wszystko.

Spojrzała w jego duże, brązowe oczy. Nic dziwnego, że Sam raz nazwał go wołem. Nadzwyczaj trafnie. Owen był ogromny, pracowity, wierny i tępy... jak wół.

- Wiem - powiedziała, tłumiąc westchnienie. - Dziękuję. Bardzo ci jestem wdzięczna za pomoc. To takie krzepiące mieć dobrych sąsiadów.

- Mam nadzieję, że jestem dla ciebie kimś więcej niż jakimś tam

sąsiadem...

- Przyjacielem, oczywiście - ucieła prędko. - I, jak mówię, jestem ci bardzo wdzięczna, ale teraz muszę już wracać do roboty. Trzeba dać kurom jeść i zebrać jajka.

- Pomóc ci?

- Nie, Owen, dzięki. Zrobiłeś już wystarczająco dużo. Teraz już sobie poradzę.

Burknął coś, ale poszedł. Odetchnęła z ulgą i oparłszy się plecami o ścianę, nasłuchiwała. Rozległo się dudnienie wyjeżdżającej z podwórka maszyny. Dopiero wtedy zamknęła cieleta i weszła z lampą do kurnika. Nagle uświadomiła sobie, że zrobiło się cieplej. W ciągu niespełna czterdziestu ośmiu godzin mróz zelżał i zanosilo się na odwilż. Ciężkie czapy śniegu spadały z gałęzi, głośnie szumiał potok. Jak to dobrze, pomyślała z ulgą. Gdy śnieg stopnieje, będzie można wypędzać krowy nad strumień. Napiją się do syta i skończy się noszenie ciężkich wiader z wodą. Obejdzie się bez niczyjej pomocy.

Posadziła kury na grzędzie, wypuściła z domu psy, żeby się wybiegały, i raptem przyłapała się na tym, że idzie w kierunku farmy Kingów. Zatrzymała się w pół kroku. Głupia. Głupia, głupia, głupia. Żeby aż tak tęsknić! Gwizdnęła na psy i ruszyła w inną stronę. Przez całą drogę przypominała sobie ubiegły wieczór. Boże, ależ było wspaniale. Sam wpadł w śnieg, a potem, gdyby nie zjawił się Owen... Wariactwo. Nie wolno jej było tak myśleć.

Psy wbiegły za nią do kuchni i nagle znowu dopadło ją uczucie osamotnienia. W ciągu weekendu fotel przy piecu, który zajmował

kiedyś wuj Tom, stał się ulubionym miejscem Sama. Teraz drażnił ją swoim widokiem tak jak i panująca wokół cisza.

Nakarmiła psy, bo po prostu musiała czymś się zająć, a potem usmażyła jajecznicę, ale wyszła za gęsta - nie taka, jaką przyrządził Sam... Ciągle ten Sam. Nie, to już naprawdę bez sensu. Naśmiewała się z siebie w duchu, ale trudno jej było wypełnić lukę, jaką po sobie zostawił.

Weszła na piętro, zebrała pościel z jego łóżka i wrzuciła w kąpielizienki. Na pościeli pozostał jeszcze leciutki ślad jego zapachu. Powstrzymała się od tego, ale przez sekundę miała ogromną ochotę podnieść poszwę z podłogi i wtulić w nią twarz.

Śmieszne. Powinna doprawdy częściej się z kimś umawiać. Zaniebalała te sprawy, uwięziona tutaj w samotności, mając za towarzyszy jedynie zwierzęta. A w razie czego, zawsze mogła liczyć na Owena. A jakże!

Zeszła do kuchni, nastawiła czajnik i włączyła tranzystorowe radio. Baterie były prawie wyladowane, więc trzeszczało okropnie, toteż w końcu wyłączyła je i usiadła, słuchając pochrapywania Noodle. Raptem w ciszę wdarło się wycie syreny. W oknie mignęły niebieskie światła. Straż ogniowa? Prędko ubrała się i zaniepokojona wyszła na podwórze. Miała wrażenie, że syrena umilkła przy farmie Stockdale'ów. Nie myliła się. Wóz straży pożarnej stał na szosie, błyskał światłami, ale ognia nie było nigdzie widać. Pobieгла szosą i dopiero kiedy przecisnęła się z boku samochodu, zobaczyła w rowie przewrócony na dach ciągnik Owena. Pani Stockdale z trudem

powstrzymywała łzy.

- Nic mi nie jest, mamie, to tylko ręka - wołał Owen. Słysząc było, że jest wystraszony. Jemima przez rozbitą szybę zajrzała do wnętrza kabiny. Leżał na boku z wykręconą do tyłu ręką,

- Jem... - Uśmiechnął się dzielnie. - Zajmij się moją mamą, proszę. Zabierz ją do domu i spróbuj uspokoić.

- Za nic go nie opuszczę - upierała się pani Stockdale. - Nie mogę w niczym pomóc, wiem, ale przynajmniej tu pobędę.

Ojciec Owena nie odzywał się. Stał, obserwując pracę strażaków, zmagających się z wywróconą maszyną. Trwało to długo. W pewnej chwili ciągnik ześliznął się, Owen krzyknął z bólu, ale zaraz udało się podnieść maszynę na tyle, że można było wydobyć go z kabiny.

- Ma złamaną rękę - powiedział strażak sanitariuszowi pogotowia.

Już po chwili Owen siedział w karetce. Był blady i zdenerwowany, podobnie jak jego wystraszona matka, która pojechała razem z nim. Ojciec ruszył za odjeżdżającą karetką własnym samochodem.

- Gdzie możemy odholować ciągnik? - zapytał Jemimę strażak. Wzruszyła ramionami.

- Sama go wprowadzę na podwórze. Mam nadzieję, że da się nim jechać.

Strażak przyjrzał się jej sceptycznie.

- Masz, panienko, prawo jazdy?

Wzniosła oczy do góry i wsiadła do kabiny, starannie omijając

rozsypane na podłodze szkło. Silnik dał się uruchomić, ale wystarczyło ujechać kawałek, by się przekonać, że układ sterowniczy jest uszkodzony. Mimo to zdołała wjechać na podwórze i zatrzymać się mniej więcej naprzeciw obory.

Więcej zrobić się nie dało. Wyjęła kluczyki, wrzuciła je do skrzynki pocztowej i wróciła do domu. Dochodziła północ. Nagle dotarło do niej, że z powodu wypadku Owena, jeśli do rana nie włączą prądu, będzie musiała targać wiadra sama.

- Cześć, jestem.

Odwróciła wzrok od boku Betsy i zobaczyła go w drzwiach. Miał na sobie garnitur - świetnie skrojony, czyściutki i bardzo miejski. Raptem uzmysłowiła sobie, że jest potargana, ma spierzchnięte ręce i brudne smugi na policzku. Podniosła się i podeszła do Sama, żeby nie musiał wchodzić do obory w tych swoich lśniących, eleganckich butach.

- Dzień dobry. Wyglądasz, jakbyś jechał do pracy. Uśmiechnął się niepewnie.

- Bo i jadę. Wracam do Londynu. Pomyślałem, że wypada się pożegnać.

Powinna powiedzieć do widzenia i puścić go. Nie miała czasu na...

- Napijesz się herbaty?

- Masz czas? Uśmiechnęła się.

- Jak się chce, to się ma.

Weszli do kuchni, entuzjastycznie witani przez psy. To znaczy, witały tak Sama. Do niej się połasiły, owszem, ale powodem radości był on. Wiedziała, jak się czują. Gdyby nie było to takie śmieszne, też by się przetoczyła na grzbiet, to znaczy na plecy, i z niecierpliwością czekała, aż Sam ją podrapie po brzuszku...

Chwilę później w saloniku zadzwonił telefon. To była pani Stockdale. Poinformowała Jemimę, że Owen jest już w domu i ma założony gips. Dziękowała też za odstawienie ciągnika na podwórze.

- Bardzo proszę, nie ma za co. Proszę pozdrowić ode mnie syna i powiedzieć, że życzę mu szybkiego powrotu do zdrowia.

Miała tylko nadzieję, że Owen nie zrozumie opacznie jej czysto sąsiedzkiego zainteresowania.

- To matka Owena - wyjaśniła Samowi. - Wrócił już ze szpitala..

- Skąd?!

- No tak, naturalnie, nie wiesz. Wczoraj wieczorem miał wywrotkę na szosie, złamał rękę i...

- W takim razie, kto ci pomoże nosić wodę? Wzruszyła ramionami.

- Jemima... - Przyjrzał się jej spod zmrużonych powiek. - Sama nie dasz rady.

- Będę musiała. Ty wracasz do pracy... a w ogóle, to nie potrwa długo.

- A jeżeli potrwa? Cały weekend się z tym bawili, i nic. Co wtedy zrobisz?

Opadły jej ręce. Nawet nie próbowała ukryć rozpaczy. Sam

pokręcił głową, wyminął ją bez słowa i wyszedł. Wybiegła za nim na podwórze, zarzucając na ramiona kurtkę.

- Sam! Poczekaj! Co się stało?

- Nic poza tym, że jesteś kompletną idiotką! - odkrzyknął przez ramię. - Upartym jak osioł głupolem.

Stała jak wryta.

- Wielkie dzięki! - zawołała. - Dobrze wiedzieć, czego się można po kim spodziewać, jak człowiek znajdzie się w potrzebie. A jedź sobie, jedź! Potrafisz tylko krytykować.

Otworzył samochód, wyciągnął skórzany neseserek i zatrzasnął drzwiczki. Zaniemówiła, gdy położył palec na jej ustach i wbiegł do domu. Popędziła za nim.

- Sam? Co ty chcesz zrobić?

- Pomogę ci, oślisko. A myślałaś, że co?

- A może ja wcale nie chcę pomocy?! - krzyknęła za nim. - Może potrafię poradzić sobie bez ciebie, ty bufonie, ty zarozumiały gogusiu, ty...

Zrobiło się cicho, a za chwilę Sam wypadł na schody w rozpiętej koszuli i usiadł na najwyższym stopniu.

- Mam jechać, tak? - zapytał bardzo spokojnie. Skuliła ramiona.

- Nie - wychrypiała. Od krzyku i z emocji zaschło jej w gardle. - Oczywiście, że nie.

- No, to zrób herbatę.

Wróciła do kuchni i zalała płatki mlekiem. Sam nie kazał na siebie długo czekać. Zszedł na dół w dżinsach i grubej sportowej

koszuli. Szybko zakrzętnęła się przy herbacie, bo gdyby nie miała zajętych rąk, to chyba rzuciłaby się mu na szyję.

- Proszę - powiedziała zmieszana.

Nagle poczuła się mała i głupia. Wyjął kubek z jej ręki, odstawił na bok i przytulił ją do siebie.

- Poradziłabym sobie - mruknęła, z twarzą wtuloną w jego ramię.

- Wiem. Ale może ja chcę być tutaj? Może wcale nie chcę wracać do swoich zajęć i zwyczajnie szukam pretekstu, żeby się od tego wymigać.

Spojrzała na niego, odchylając głowę.

- Naprawdę? Uśmiechnął się przewrotnie.

- Nie twoje zmartwienie. Ze swoimi bzikami poradzę sobie sam.

Wziął herbatę, przepędził Noodle na podłogę i usiadł w swoim fotelu, rozprostowując z westchnieniem nogi.

- Mówisz zatem, że Owen złamał rękę...

Żartował sobie? Zerknęła na niego podejrzliwie. Na to wyglądało.

- Tak. To dla nich katastrofa. Przez kilka tygodni nie będzie sprawny, a jego ojciec ma się niezbyt dobrze - powiedziała, patrząc na niego karcąco.

Uniósł brew.

- Co się tak nabzdyczyłaś?

- Bo sobie żartujesz.

- Wcale nie.

- Wyglądasz, jakbyś się cieszył.

- Może dlatego, że mam bardzo solidny i wiarygodny pretekst, by pobyć z tobą dłużej.

Jego szczerość zbiła ją z tropu.

- A dlaczego miałyby cię to cieszyć? Roześmiał się.

- Bo z jakiegoś powodu nie potrafię się od ciebie odczepić. Lubię cię.

Zarumieniła się. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc podniosła kubek do ust, by ukryć radość. Sam ją lubił. O matko! Nagle zapomniała o tym, że jeszcze niedawno nie chciała, by się nią interesował. Dawne postanowienia przestały się liczyć.

Pracował jak szatan. Bez słowa skargi nosił wiadro za wiadrem, a potem zajął się uprzątnięciem obory. Namokła słomę wynosił do kontenera, aż w końcu nie było już miejsca.

- Kontener jest pełny! Gdzie mam to teraz nosić? - zapytał, przystając przy niej. Zajmowała się masowaniem wymienia Daisy i miała właśnie odpowiedzieć, gdy krowa podniosła ogon i kaszlnęła. Strumień zielonej mazi wylądował wprost na piersi Sama. Odskoczył z krzykiem, próbując otrzepać przód koszuli, i nagle na jego twarzy odmalowała się zgroza.

- No, nie! Narobiła mi na koszulę!

Jemima starała się, naprawdę bardzo się starała nie wybuchnąć śmiechem, ale okazało się to ponad jej siły. Zgięła się w pół, chwyciła pod boki i śmiała się jak szalona, patrząc, jak Sam pluje i parska, miotając przekleństwa pod adresem całego bydłęcego rodu. W końcu

zamilkł. Otarła mokre oczy.

- Idź się lepiej przebrać - powiedziała, próbując przybrać współczującą minę.

- W co? To moja ostatnia koszula, nie licząc tych do pracy. Nie. Jeśli się przebiorę, któraś z twoich krów gotowa to jeszcze potraktować jako wyzwanie. Już lepiej dokończę pracę w tej brudnej.

- Wytrzymasz?

Kiwnął głową i tą swoją determinacją zarobił w jej oczach kolejne punkty.

- No więc, gdzie mam wyrzucać ten gnój? - powtórzył pytanie, ustawiając się w bezpiecznej odległości od krowich ogonów.

- Za róg. Pokażę ci miejsce. Jesteś pewien, że chcesz to nadal robić?

Spojrzał ponuro, chwycił pojemnik i bez słowa wyjaśnienia poszedł za nią.

- Tutaj. - Wskazała parującą górę ściółki, z której spłynął już śnieg. - Jak przegnije, sprzedam to jako obornik.

- Już stąd śmierdzi jak jasna cholera.

Popatrzyła na przód jego koszuli, tłumiąc znowu śmiech.

- Przepraszam. Nie zdążyłam cię ostrzec. Tak się stało, bo kaszlnęła.

- Zauważyłem - powiedział zgryźliwie, zabierając się do roboty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- No, to powiedz, co to za nagroda. Dostałeś podobno nominację...

Wsunął ręce do kieszeni.

- Skąd się dowiedziałeś?

Zatrzymała się i spojrzała na niego uważnie. Spostrzegła, że jest najzwyczajniej w świecie zakłopotany i dopiero teraz uświadomiła sobie, ile skromności jest w tym prawdopodobnie bardzo uzdolnionym człowieku.

- Od Mary. Wspominała o tym jakiś czas temu. Jest z ciebie bardzo dumna.

Uśmiechnął się krzywo.

- Bez wątpienia.

- No, to co z tą nagrodą? - nalegała, gdyż stało się dla niej jasne, że sam więcej nie powie.

- Ojej, naprawdę... To nagroda za pewien projekt. Ale jeszcze nie wiadomo, czy ją dostanę. Babcia niepotrzebnie się podnieca.

Jemima rozejrzała się i zawołała psy, które baraszkowały na śniegu.

- Liczy się już to, że dostałeś nominację. Co zaprojektowałeś?

- Nic szczególnego. Pewien stary londyński browar stał od lat bezużyteczny i władze dzielnicy postanowiły coś z tym fantem zrobić. Uwzględniłem w projekcie jedynie ich wskazówki i zalecenia.

Czuła, że nie powiedział wszystkiego. W drodze do domu usiłowała go jeszcze podpytywać, ale bez większego skutku. Dowiedziała się tylko, że w kompleksie powstającym z przebudowywanych zakładów miały się mieścić oprócz biur zarządu dzielnicy również: sala teatralna, centrum handlowe i konferencyjne, restauracja, galeria sztuki...

- I wszystko zaprojektowałeś ty? - spytała zdumiona.

- Nie wszystko i nie sam, ale, owszem, nadzór nad realizacją całości należał do mnie.

- Kawał roboty!

- To było czasochłonne, owszem, ale przynajmniej nie musiałem dojeżdżać. Mieszkam na miejscu. Zarząd dzielnicy uznał, że w ten sposób zawsze będę pod ręką, a i tak mieli sprzedać kilka lokali na prywatne mieszkania, żeby pokryć część kosztów. W ten sposób wilk jest syty, i owca cała.

- Dobrze się tam mieszka?

Rozejrzał się, mrużąc oczy przed słońcem, skrzywił się lekko i uśmiechnął.

- Samo mieszkanie jest bardzo piękne. Znajduje się na najwyższym piętrze, więc grzeje mnie słońeczko z dachu. Zakłady takie jak browar z natury rzeczy są przestronne i mają wysokie sklepienia, co jest wspaniale latem, ale zimą może być trochę dokuczliwe.

- Wysokie pomieszczenia trudno ogrzać.

- Wysokie... - Roześmiał się. - Prawie sześciometrowe, a niektóre

jeszcze wyższe. W dachu są urządzenia do nawiewania ciepła, mam też znakomite ogrzewanie... W ogóle jest to bardzo ciekawy stary kompleks budowlany. Jego przeprojektowanie było dla mnie wielką frajdą, a mieszkania sprzedano na pniu. Dodatkowym atutem była oczywiście lokalizacja. Budynek stoi nad samą Tamizą. Miło popatrzeć z okna na stateczki, a i brzeg w tej okolicy jest jeszcze miejscami trochę dziki. Ma to swój urok.

Usiłowała sobie wyobrazić to miejsce, ale nie potrafiła.

- Bardzo bym chciała zobaczyć ten dom.
- Mogłabyś przyjechać.
- I zostawić zwierzęta?
- Przyślę ci zdjęcia.
- Dziękuję.

Wbiła wzrok w ziemię. Zapragnęła nagle, żeby nigdy już nie włączono prądu. Żeby Sam nie musiał wracać do tego swojego świata, do tego młyna, w którym liczy się władza, a wszystkim rządzi pieniądz.

Kiedy wrócili do małego domku wuja Toma, spróbowała spojrzeć na swoje domostwo oczami Sama. Zobaczyła obłuzowaną rynnę, przegniłą framugę w oknie łazienki, zzieleniała od wilgoci podmurówkę i wyobraziła sobie jego jasne, przestronne, nowiutkie mieszkanie z wysokim sufitem. Nie było to zbyt budujące porównanie.

Weszli do środka i nakarmili psy, a potem poszli do obory. Jemima zaczęła doić krowy, a on nosić wodę. Pomyślała o jego świecie, tym, który sama porzuciła, i zaczęła się zastanawiać, co tak naprawdę Sam sądził o niej i jej malutkiej farmie.

Że to straszliwa prowincja?

Może i tak. Pokręciła korbką prymitywnej maszyny, wlała wodę do zbiorniczka i poszła do krów. Usiłowała nie pamiętać o swojej biedzie, popsutym samochodzie i o uszkodzonym ciągniku, ale o czym innym miała myśleć? Sam chodził tam i z powrotem z wiadrami. Och, ileż by dała, żeby ich światy nie były od siebie tak bardzo odległe. Naturalnie, mogła zawsze wrócić do jego świata. Z farmą wuja Toma nie wiązało jej nic prócz miłych wspomnień. Wuj nigdy by zresztą od niej nie wymagał, żeby osiedliła się tu na stałe. Wszystko to prawda, tyle że... Maszyna zaczęła podejrzanie charczeć.

- Kończysz? - zapytał, zdobywając się na uśmiech, chociaż pot zalewał mu czoło.

- Tak, została mi jeszcze tylko jedna krowa. Maszyna wydaje jakieś dziwne dźwięki. Mógłbyś spojrzeć?

- Jasne. Ale musiałabyś przynieść resztę wody dla cieląt.

- Rozkaz. - Uśmiechnęła się. - Odwaliłeś kawał roboty. W odpowiedzi postukał ją leciutko po nosie. Zrobił to tak.

czule, że ugięły się pod nią kolana. Och, gdyby mogła zatrzymać go tu na zawsze...

Nadciągał zmierzch. Śnieg topniał teraz już szybko i idąc z wiadrami, słyszała dochodzący zewsząd szum wody. Potok wezbrał. Jeszcze parę dni i będzie można wypuścić krowy na dwór. O, jak dobrze! Nabrała wody do pierwszego kubła i odstawiła go na brzeg. Sięgając po drugi, zauważyła lisa biegnącego w stronę kurnika.

- Hej, ty! - krzyknęła. - Uciekaj stąd! Zostaw w spokoju moje

kury.

Przestraszony lis uniósł łeb i po chwili zniknął w mroku. Głodny, biedactwo. Miał pewnie do nakarmienia małe, ale to nie powód, żeby kradł jej kurczęta. Nieuważnie odwróciła się w stronę wiadra i pośliznęła się na stopniu. Raptem poczuła, że śnieg umyka jej spod stóp.

- Sam! - zawołała przerażona, osuwając się do lodowatej wody. Próbowała utrzymać równowagę, ale silny prąd podciął jej nogi. Uchwyciła się kurczowo kamiennego stopnia, lecz nie była w stanie krzyknąć, gdyż zimno odebrało jej oddech. Czowała jedynie straszliwe przerażenie. Lodowaty nurt targał jej ciałem.

- Jem...

Wyłączył maszynę i nasłuchiwał, ale odpowiedziała mu cisza. Był pewien, że przed chwilą słyszał krzyk.

- Jem! - Wyprostował się i wyszedł na podwórze. Poszła do domu? Chyba nie... W kuchni nie paliła się lampa, nie czekały psy. Dziwne. Zajrzał do cielętnika, ale i tam jej nie było, więc zszedł nad potok. Wiadra, owszem, stały, ale... Krzyknął znowu i nagle... Co to? Zdawało mu się, że słyszy jakiś słabiutkie wołanie, bardziej płacz niż krzyk. Dźwięk dochodził z...

O Boże! Jednym susem znalazł się na samym brzegu. Zobaczył jej ciało targane nurtem i sine palce, zaciśnięte kurczowo na kamiennym stopniu. Bezgranicznie przerażony uklęknął i chwycił ją z tyłu za szyję.

- Już, już... - pociągnął ją na brzeg. Upadła mu na pierś, zalewając go całego wodą tak lodowatą, że na moment zaparło mu dech.

- Sam... - wyszeptała Zesztywniałymi ustami. Objął ją z całych sił.

- Jemima, na Boga, co ty wyprawiasz. Jeszcze trochę, a byłoby po tobie.

- Wpadłam. - Dygotała jak w febrze, przemarznięta i przestraszona. Wziął ją na ręce i poderwał się z kolan.

- Trzymaj się.

Wniósł ją do kuchni, posadził w fotelu przy piecu i wypędził psy do saloniku. Potem zrzucił z siebie kurtkę, podwinął rękawy i zaczął rozbierać Jemimę. Była cała sina. Sięgnął po ręcznik, otulił ją i podciągnął na nogi, żeby zdjąć jej dzinsy.

- Zimno mi, zimno - powtarzała wstrząsana drgawkami. Zostawił ją na moment i pobiegł na piętro. Ściągnął kołdrę z jej łóżka, zabrał kilka ręczników z łazienki i zbiegł na dół. Nie miał pojęcia, co się robi w przypadku hipotermii, ale jedno wiedział na pewno. Jemima musiała się rozgrzać, powoli, lecz skutecznie. Okrył ją więc kołdrą i ręcznikami, rozcierał pokryte gęsią skórą nogi i ręce, ale nadal miała sine wargi i kredowobiała twarz. Nie wiedział już, co robić.

- Wezwę pogotowie.

- Nie, nie. Nic mi nie będzie - odpowiedziała szeptem. - Tylko... tylko mnie trzymaj.

Zawahał się, ale uległ. Ściągnął przez głowę sweter, zdjął dzinsy,

otworzył drzwiczki pieca i rozłożył kołdrę na podłodze, tuż przy ogniu. Potem położył się, przytulił Jemimę i owinał ich kołdrą. Dziewczyna była dosłownie sztywna z zimna. Jej plecy były tak lodowate, że aż syknął, gdy dotknęły jego piersi. Przygarnął ją mocniej, nakrył stopami jej stopy, położył ręce na biodrach i czekał, aż ustanie dygot. W końcu uspokoiła się i tylko od czasu do czasu przez jej smukłe ciało przebiegało drzenie. Sięgnął po poduszkę z fotela i podłożył jej pod głowę.

- Nie idź - szepnęła.

- Nigdzie nie idę. Westchnęła z ulgą i wtuliła się w niego.

Dopiero teraz i on rozluźnił się trochę. Wysunął spod niej zdrętwiałą rękę i położył na jej włosach. Drugą objął ją wpół.

Mógł ją stracić. Gdyby nie dosłyszał wołania, gdyby pojawił się choćby parę chwil później... Myśl o tym była tak zatrważająca, że bezwiednie zacisnął dłoń.

- Sam...

- W porządku. Jak się czujesz?

- Chcę mi się spać...

- No to śpij. Będę czuwał.

Usnęła niemal od razu. Słyszał jej oddech, coraz płytszy, coraz spokojniejszy i czuł ją całą - miękką, ciepłą, ufną. Zamknął oczy, pozwalając odpłynąć napięciu, i wtulił się w jej włosy. Tylko na chwileczkę, mówił sobie. Jeszcze tylko chwilę...

Obudziła się rozpalona. Coś grzało ją z tyłu, od szyi po kostki

nóg, i coś gorącego i ciężkiego otaczało jej piersi. To był Sam. Gdyby nie on, już bym nie żyła, pomyślała i przebiegło ją drzenie. Przesunęła się odrobinę i poczuła, że Sam szuka palcami jej piersi. Odsunęła jego rękę i spróbowała się wywinąć, ale objął ją i przytrzymał, mrużąc coś pod nosem.

- Dokąd idziesz?

- Nigdzie się nie wybieram. Jest ciemno. Gdzie są psy?

- W saloniku. Nic im nie będzie.

- Chcą na dwór. Trzeba je wypuścić.

- Ja się tym zajmę. Jak się czujesz? Położyła dłoń na jego ręce.

- Bardzo dobrze. Dziękuję ci, uratowałeś mi życie.

- Przestań. - Objął ją mocniej. - Gdybym sam poszedł po wodę, to nic by się nie wydarzyło.

- Głupstwa mówisz. Wracaleś już do Londynu... Całe szczęście, że tu byłeś... Naprawdę nic mi nie jest. - Odwróciła się do niego. - Nie dręcz się - powiedziała serdecznie.

Wziął ją w ramiona, ale uściskała go tylko i uwolniła się.

- Sam, psy...

- OK. - Wygrzebał się z legowiska, otulił ją kołdrą, zapalił lampę i naciągnął na siebie jeszcze wilgotne dzinsy i sweter. Potem wypuścił psy, zrobił herbatę i zamknął piec.

Psy przybiegły do Jemimy i zaczęły ją radośnie lizać. Ścisnęła je i głaskała, owinięta kołdrą i oparta o ścianę. Sam podał jej herbatę i przysiadł z kubkiem na oparciu fotela.

- Nic mi nie jest, Sam, naprawdę. Przestań się martwić.

- Byłaś sina. Sinoczerwona. Jeszcze kilka chwil w tej wodzie i...
- Przestań!

Zamknął oczy, opuścił głowę i odetchnął głośno. Biedny. Sama prawie nic z tego nie zapamiętała - jedynie to, że zobaczyła lisa, pośliznęła się, a potem już tylko potworne zimno i moment przebudzenia w objęciach Sama. Dla niego musiało to być o wiele gorsze przeżycie.

Odsunęła psy, odstawiła herbatę i uniosła się.

- Sam... - Dotknęła jego ręki.

Podniósł głowę i otworzył oczy. Miały taki dziwny wyraz, jakby wciąż rozpamiętywał minione straszne chwile.

- Sam, chodź ze mną do łóżka.

Jego oczy ożyły nagle i błysnęły. Długo milczał i pomyślała już, że niewłaściwie odczytała to, co mówił. Te wszystkie subtelne znaki, spojrzenia, żarty. Nagle podniósł się, podciągnął ją do góry i chwycił w ramiona.

- Weź lampę - powiedział szorstko.

Zawiesiła ją sobie na palcach i pozwoliła wziąć się na ręce. W pokoiku na górze posadził ją delikatnie na łóżku, a lampę postawił na komodzie. Potem podniósł z podłogi kota, który wśliznął się za nimi, zdecydowanym ruchem wyrzucił go na schody i zamknął drzwi.

Siedziała opatulona kołdrą i obserwowała go z zapartym tchem. Ściągnął sweter przez głowę, rzucił go byle gdzie i rozpiął zamek dzinsów. Gdy podszedł do niej, zobaczyła w jego oczach niepewność. Ale ona nie miała żadnych wątpliwości. Pragnęła go tak samo mocno,

jak on jej. Podniosła się, odrzucając kołdrę, i objęła go gorąco. Przyłgnęli do siebie w pocałunku. Położyła ręce na jego mocnych plecach i zapragnęła je pogłodzić, ale nagle zawstydziła się swoich dłoni, zniszczonych i szorstkich od pracy.

- Jem? - Wyczuł jej wahanie. Popatrzyła mu w oczy.

- Chcę cię dotknąć.

- Więc?

- Powiedziałeś niedawno, że mam ręce jak tarka.

- Daj spokój - wymruczał. - Jem... proszę cię, skarbie mój, proszę...

Przesuwała delikatnie dłonie, oswajając się z Uniami jego pleców, ramion, żeber, a on powtarzał jej ruchy, jak w tańcu. Wyczuwając, że Sam nie posunie się pierwszy dalej niż ona, powiodła dłońmi w górę, a wtedy objął jej piersi.

- Pragnę cię, Jem - szepnął.

Czuła, jaki jest spięty i jak wali mu serce.

Cofnęła się i odwróciła do łóżka. Podniosła kołdrę, rozłożyła ją i odrzuciła z jednej strony na bok.

- Idziesz? - spytała. Roześmiał się miękko.

- Mam nadzieję, że nie... Jeszcze nie.

- Chodź - szepnęła, wyciągając rękę. - Ja też cię pragnę.

Położyła się na plecach i zadrżała lekko w zetknięciu z lodowatą pościelą, ale nie musiała czekać. Był już przy niej, przyłgnął do niej w rozpaczliwym pocałunku. Nikt nigdy tak mnie nie całował, zdążyła jeszcze pomyśleć...

Obejmując ją, wsłuchiwał się w jej cichy, równy oddech. Leżała na jego piersi, a on miał na wargach jej włosy i był zdumiony siłą swego uczucia. Czuł się tak, jakby nigdy z nikim nie był związany, jakby wszystkie te starannie wybierane i upragnione kobiety w ogóle się nie liczyły.

Nie wyobrażał sobie, by potrafił dotykać kogoś tak jak ją, ani też, żeby ktoś dotykał go tak jak ona - ze wzruszającym wahaniem i wrażliwością, które jeszcze bardziej go podniecały.

Poczuł, że zalewa go fala wzruszenia. Wypuścił ustami powietrze i zabrzmiało to jak krótki szloch. Pod powiekami poczuł gorące łzy. Mogła utonąć. Gdyby nie usłyszał wołania, gdyby zagłuszyło je szczekanie psów, leżałaby teraz w kostnicy... Odetchnął głęboko i objął ją mocniej. Wymamrotała coś przez sen, wtuliła się w niego, a wtedy obudził ją pocałunkiem. Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Zapragnął jej znowu i zatracił się zupełnie w czułości.

Obudziło ją słońce prześwitujące zza firanki i odgłos lejącej się wody. Zastanowiła się, co to może być, ale bardziej interesowało ją przerzucone przez jej nogi udo Sama. Połaskotała go pod kolanem. Drgnął we śnie. Uśmiechnęła się i położyła rękę na jego nodze. Jeszcze parę chwil pragnęła rozkoszować się tym, co za moment miało im zostać odebrane. Mieli wstać i zająć się krowami. Wieczorem, przez ten jej głupi wypadek, cielęta nie dostały tyle wody, ile trzeba, więc najpierw należy...

- Jasne! - powiedziała głośno i usiadła. Sam zamrugał.

- Co się dzieje? Jem...

- Włączyli prąd! - Chwyciła go za rękę. - Słyszysz? Pompa pracuje. Leci woda. Nie będziemy musieli jej już więcej nosić.

I nie będzie powodu, żeby został dłużej. Musiał odgadnąć tę myśl z jej twarzy, gdyż przygarnął ją do siebie i pocałował tak, że zakreśliło jej się w głowie. Wziął ją odważnie niż nocą, gwałtowniej i brutalniej. Potem przetoczył się na bok, ubrał się i zszedł na dół. Słyszała, jak wypuszcza psy na dwór i wychodzi na podwórze. Pewnie po to, żeby zobaczyć, co z wodą. Poczuli się - nie, nie wykorzystana, ale opuszczona i nieco urażona. Prędko naciągnęła ubranie, ciesząc się na porządną kąpiel w wannie, i zbiegła do kuchni. Sam właśnie wrócił do domu.

- Wszystko w porządku. Pogasiłem światła.

- Dziękuję.

- Herbaty?

- Nastawię wodę.

Śmieszne. Była z nim bliżej niż z kimkolwiek w życiu, nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, a rozmawiali ze sobą jak zwykli znajomi. A nawet chłodniej.

- Sam...

- Jemima... Roześmiali się zażenowani.

- Mów pierwsza. Zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję ci za tę noc. Za to, że mnie wyłowiliś z potoku, ogrzałeś... i w ogóle za wszystko, co stało się potem. Za to, że byłeś ze mną, że mnie... - zawahała się - kochałeś.

Wyciągnął do niej rękę. Rzuciła mu się w ramiona, tak jakby bez

niego czekała ją już tylko śmierć. Dziwne. Tak właśnie to odczuwała. Że umrze, kiedy on wyjedzie. A rozstawał się z nią już, czuła to w jego rozpaczliwym uścisku.

- Muszę jechać... muszę.

Kiwnęła głową i puściła go. Gdy nalewała mu herbatę, zbierał swoje rzeczy, nie kryjąc pośpiechu. Sięgnął po herbatę i syknął.

- Zostaw, jeśli jest za gorąca.

Odstawił filiżankę i wyszedł z bagażem do samochodu. Włożyła kalosze, stanęła przed domem i myślała już, że Sam wsiądzie bez pożegnania, ale w końcu wrócił i przycisnął ją mocno do piersi.

- Nienawidzę rozstań - wymruczał w jej włosy. - Trzymaj się i uważaj przy potoku. Będę z tobą w kontakcie.

Prędko usiadł za kierownicą i odjechał. W powietrzu jeszcze przez moment unosił się zapach spalin.

Zrobiła po kolei wszystko, co należało wykonać. Sprawdziła rury wodociągu, wydoiła krowy, nakarmiła psy i zabrała je na spacer, wykąpała się, a potem wsiadła do swego samochodu i spróbowała go uruchomić z zamiarem pojechania do wsi po zakupy. Niestety, silnik charczał, ale zapalić nie miał zamiaru. I nagle coś w niej pękło. Położyła głowę na kierownicy i rozszłochała się na dobre.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jemima...

Uniosła głowę i zobaczyła Owena. Patrzył na nią, wyraźnie zaniepokojony.

- Nic ci nie jest?

- Nic, absolutnie. - Pociągnęła nosem i otarła rękawem zalaną łzami twarz. - Ten cholerny grat nie da się uruchomić, a muszę pojechać do sklepu po zakupy. Nie mam nic do jedzenia, żarcie dla psów też mi się kończy... Włączyli prąd...

- On wyjechał, tak? - Położył swoją dużą, szorstką dłoń na jej kolanie. Przez moment myślała, że udusi się łzami.

- Nic mi nie jest - powtórzyła twardo.

- A pewnie, pewnie. Podwieźć cię do sklepu? I tak muszę jechać do wsi załatwić sprawunki matce. Z tym przeklętym gipsem do niczego innego się nie nadaję.

Wydawał się przygnębiony i pomyślała, że będą teraz dla siebie bardzo odpowiednim towarzystwem. Podziękowała mu i poprosiła, żeby poczekał, aż zamknie psy i weźmie pieniądze.

Na tylnym siedzeniu pikapu czekał cierpliwie pies. Szczeknął na powitanie, podrapała go więc za uszami i usiadła obok Owena. Poweselała, patrząc jak niezgrabnie manewruje swoim gipsem i klnie ze złością pod nosem.

- Jak z ręką?

- Da się wytrzymać. W nocy trochę boli, ale to drobna niedogodność. Tylko że rozwaliłem ciągnik. Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, przecież mam doświadczenie.

- Wszystkim zdarzają się wypadki.

Wjechali w uliczkę i zatrzymali się przed sklepem. Pies Owena zaczął szczekać na pudelka prowadzonego na przepięknej czerwoniutkiej smyczy.

- Zamknij mordę, Oskar - skarcił go Owen i pies ucichł. W wiejskim sklepiku był tłok. Mary zauważyła ich, przywitała się z Owenem i odciągnęła Jemimę na bok.

- No, jak tam? - spytała cicho.

- Przeżyję, chociaż już mi go brak. Śmieszne, nie? Mary uśmiechnęła się tajemniczo.

- On wróci. Daj mu tylko czas. Jest teraz bardzo zapracowany, ale już wkrótce będziesz miała okazję widywać go częściej.

- Czyżby? Jego miejsce, Mary, jest tam, w Londynie, nie tu. Chciałby, żebym do niego przyjechała, ale to niemożliwe.

Mary spojrzała na Owena.

- Stockdale na pewno mógłby zająć się przez weekend krowami, a my wzięlibyśmy psy do siebie. Zastanów się. Bardzo by ci się tam spodobało.

- Nie mogę.

- Szkoda, ale my mamy zdjęcia projektu Sama. Chcesz, to ci pokażę. Wpadnij któregoś dnia.

- Przyjdę na pewno. Dziękuję. Muszę już iść, Owen czeka. Mój

samochód wciąż jest zepsuty.

- Powinnaś coś z nim zrobić, bo któregoś dnia będzie klops. Nie żartuję.

- Już jest klops. - Zrobiła kwaśną minę.

- No, to oddaj go do warsztatu.

- Nie mam forsy.

- To może sprzedaj kilka krów.

- Nie...

- Ciągle jej to proponuję - wtrącił Owen. - A ta głupia kobita nie chce się z nimi rozstać.

- Ta głupia kobita je lubi.

Owen prychnął, a Jemima mrugnęła do Mary.

- Do rychłego zobaczenia. Dziękuję, że pożyczyłaś mi Sama.

Owen zawiózł ją do domu i wypadało zaprosić go na herbatę. Od razu tego pożałowała, gdyż umył kubek Sama i skorzystał z niego, a z jakiegoś głupiego powodu nie życzyła sobie, żeby dotykał czegokolwiek, co miał w ręku Sam - nawet jeśli był to tylko kubek.

- Kochasz go, co?

Zaskoczona, uniosła głowę i napotkała jego nieugięte spojrzenie.

- Czy to aż takie oczywiste? - spytała zmieszana. Uśmiechnął się lekko.

- Może tylko dla mnie. Już za nim tęsknisz, prawda?

- To głupie. Wiedziałam, że mieszka w Londynie. Wiedziałam, że tam wróci. Wszystko przez to, że... Wczoraj wieczorem wpadłam do potoku. Wyciągnął mnie. Utonęłabym, gdyby nie on. Nie dałabym rady

wyjsć sama na brzeg...

- Urwała i nagle poczuła na plecach twardą męską pierś, na ramieniu gips i drugą, poklepującą ją serdecznie rękę.

- Mogłaś umrzeć. Dzięki Bogu, że on tu był. Zdenerwował się wyraźnie i mówił tak, jakby czuł się winny. Wymknęła mu się z objęć.

- Owen, ja i Sam... Jesteśmy ze sobą - rzuciła twardo, chcąc, żeby poznał prawdę, ale tylko uśmiechnął się łagodnie i kiwnął głową.

- Wiem.

- Skąd?!

Dotknął palcem jej górnej wargi.

- Czysty ogień. Każdy, kto ma trochę rozumu, od razu się domyśli. - Wzruszył ramionami. - W porządku, twoja sprawa. Ale pamiętaj, jak ci będzie trzeba wsparcia, to ja jestem na miejscu.

- Owen, zrozum... Jesteś moim przyjacielem, ale nikim innym dla mnie nie będziesz.

- Wiem. W porządku, nie przejmuj się. A zresztą, chodzi mi wyłącznie o twoje krówki. - Uśmiechnął się szeroko i teraz miała już pewność, że celowo ją okłamał.

- Prawdziwy z ciebie skarb. Wiesz o tym? Poczzerwieniał na twarzy i wziął kurtkę.

- Muszę iść. Przypomniało mi się, że mam wpaść do weterynarza po antybiotyki. Odwiedzę cię wkrótce, a w ogóle to dzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała, i nie chodź nad ten przeklęty potok.

- Tak, Owen. Dziękuję.

Odprowadziła go do wyjścia, a potem pobiegła na górę i rzuciła

się na łóżko, wtulając twarz w poduszkę, jeszcze pachnącą Samem.

- Kocham cię - wyszeptała. - Wracaj prędko.

Owen zatelefonował we czwartek i zapytał, czy wieczorem nie wybrałaby się z nim do pubu.

- Myślałam, że zrozumiałeś...

- Tak, dokładnie, ale hm... chcę, żebyś mi w czymś pomogła - powiedział wyraźnie zakłopotany.

- W czym? - rzuciła podejrzliwie.

- W tym pubie, no wiesz, pracuje pewna młoda dama... Jenny ma na imię. Pomyślałem sobie, że...

- Że gdybym z tobą poszła, to byłaby zazdrosna. - Jemima domyśliła się od razu. - Och, Owen, czemu jej zwyczajnie nie powiesz, że ci się podoba?

- Próbowałem rok temu.

- Rok temu?! O matko! Roześmiał się speszony.

- No to jak? Pojedziesz?

- Dobrze, ale na szybkiego drinka. Bądź u mnie o wpół do dziewiątej.

Jenny faktycznie była zazdrosna. Zerkała na Owena, gdy nie mógł tego widzieć, a raz obie panie długo popatrzyły sobie w oczy. Och, gdyby można było zabijać wzrokiem!

- Masz, chłopie, szczęście. - Jemima mrugnęła porozumiewawczo do Owena.

Poczerwieniał i utkwiał nos w kuflu. Jemima uśmiechnęła się, spostrzegła, że barmanka spogląda na nią ponuro, i pomyślała, że nie zaszkodzi nieco dopomóc Owenowi. Położyła dłoń na jego ręce.

- Pójdziemy? - Przeciągnęła się jak kotka. Przez chwilę nie wiedział, w czym rzecz, ale zaraz uśmiechnął się od ucha do ucha.

Wyszli, odprowadzani zazdrosnym spojrzeniem Jenny.

- Myślisz, że mam szansę? - zapytał z nadzieją.

- Chyba tak. Nie podobało jej się, że przyszedłeś ze mną.

- Dobra nasza. Masz jakieś wieści od Sama? Wesoły nastrój przysł jak bańka mydlana.

- Nie - odpowiedziała ponuro, ze zwieszoną głową. - Jest ponoć bardzo zapracowany. Kończy jakiś projekt. Wątpię, czy go prędko zobaczę.

Myliła się. Pojawił się już w sobotę, ale do tego czasu zważyła w sens kontynuowania ich związku. Pożyczyła od Mary zdjęcia, przyjrzała się temu, co robił, i przeżyła szok. Był naprawdę bardzo utalentowany. Nagle poczuła się prowincjonalna i nudna. Zastanawiała się, co takiego mógł w niej w ogóle widzieć, toteż przyjęła go z pewną rezerwą. Sam natomiast był w świetnym nastroju.

Przyszedł z psami dziadków. Przywitał się z Jess i Noodle i wypędziwszy wszystkie do ogrodu, wziął Jemimę w ramiona.

- Strasznie się za tobą stęskniłem - wymruczał, całując ją żarliwie. Poczowała, że dystans, jaki postanowiła zachować, topnieje w mgnieniu oka

- Ja za tobą też. Jak twój projekt?

- Dzięki Bogu prace dobiegają końca. Tak bym chciał, żeby już było po wszystkim.

- Wygląda to bardzo ciekawie. Odsunął się i spojrzął na nią.

- Babcia mówiła mi, że pożyczyła ci zdjęcia. Nie rozumiem, jak możesz się tym interesować.

Chciała powiedzieć: bo to dotyczy ciebie, ale ugryzła się w język.

- Lubię stare budownictwo. Zawsze mnie fascynowało - odpowiedziała i wypadło to trochę niepewnie.

Roześmiał się głośno.

- OK. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Ja też lubię stare budowle. Dlatego tak mi zależało na tym projekcie. - Popatrzył przez okno na uganiające się po ogrodzie psy. Śniegu już prawie nie było. Jedynie przy żywopłocie, tam gdzie nie dochodziło słońce, leżały jeszcze poszarzałe resztki. - Chcesz się przejść?

Przystała na to bardzo chętnie. Gdyby poszli z psami, nie byłiby aż tak skupieni na sobie, a czuła, że oboje potrzebują pewnego dystansu. Spacer brzegiem potoku okazał się cudowny. Sam opowiadał o swojej pracy - ile czasu mu jeszcze zostało i co się może nie udać. Był utalentowany, ale wyraźnie uginał się pod presją terminów i budżetu. A dla niej powodem do zdenerwowania było to, że dojenie krów opóźni się o pół godziny. Uzmysłowała sobie nagle, jak bardzo oddaliła się od zwykłego rytmu życia i zastanawiała się, czy jej uczucie do Sama jest wystarczająco mocne, żeby mogła zaryzykować powrót do tamtego świata.

- Jak tu pięknie! - zachwycił się w pewnej chwili i w tej samej

sekundzie zrozumiała, że byłaby to dla niej bardzo trudna decyzja. Może nawet niemożliwa. Miała już nadzieję, że nigdy nie będzie zmuszona do dokonania takiego wyboru, ale teraz oznaczałoby to utratę Sama. Straszne!

- Kocham to miejsce - powiedziała. - Nienawidziłam Londynu. Nie mogłam znieść tego małego gaju, tych kretynów walczących ze sobą o dzieci, o to, ile kto się będzie nimi zajmował i u kogo spędzą święta. Traktowali je jak fanty. Nie cierpiałam tego, Sam, wierz mi.

- Rozumiem. - Skinął głową. - Od kiedy dostałem tę nominację, moje życie zrobiło się po prostu nieznośne. Przeżywam istne obleśenie. Rozmaite typki, szastające pieniędzmi na prawo i na lewo, na gwałt szukają do mnie dojścia. Chcą przebudowywać swoje pretensjonalne mieszkania i domy, mieć jeszcze efektowniejsze ogrody na dachach, i w ogóle wszystko ma wyglądać jak z modnego magazynu. Nikogo tak naprawdę nie interesuje, jak ja bym to zaprojektował. Im chodzi wyłącznie o to, żeby móc się pochwalić moim nazwiskiem. Ale mnie nie odpowiada taka rola. Nie chcę być niczym trofeum. Wisieć u pańskiej klamki też nie mam najmniejszego zamiaru.

- No, to przegoń całe towarzystwo. Roześmiał się gorzko.

- Przegoniłbym, ale o pracę w moim zawodzie nie zawsze jest łatwo. Konkurencja, rozumiesz. Mam teraz swoje pięć minut, a nie jestem aż tak zamożny, żeby powiedzieć im wszystkim, żeby mnie pocałowali w d...

- A czym tak naprawdę chciałbyś się zajmować?

- Projektowaniem pojedynczych domów w niezwykłych

miejscach, przebudową budynków użyteczności publicznej na kompleksy mieszkalne... Naprawdę lubię projektować takie mieszkania - stwarzać miejsce do życia w czymś, co - jak na przykład fabryka czy browar - było tylko ogromną przestrzenią... Praca nad czymś tak niezwykłym jak ten ostatni projekt to fascynująca przygoda.

- Nie chodziło ci więc tylko o sukces, o nagrodę?

- Nie. To było wyzwanie. W gruncie rzeczy interesuje mnie jednak bardziej projektowanie różnych ciekawych rozwiązań w budynkach indywidualnych. Dopasowywanie przestrzeni domu do osoby. Jest przy tym mniej ograniczeń i to wszystko tyle nie kosztuje. W przedsięwzięciach publicznych budżet prawie zawsze jest za mały.

Uśmiechnęła się.

- A w prywatnych to nie?

- Nie na tym poziomie, o jakim myślę. Są ludzie, którzy wiedzą, czego chcą, i gotowi są za to zapłacić. Może nie jest ich tak wielu, ale są.

- Nagroda powinna ci pomóc w pozyskaniu takich klientów.

- Jeśli ją dostanę, co wcale nie jest takie pewne. - Roześmiał się nieprzyjemnie. - Bo jeśli nie, to wszystkie te pańce, które chciałyby mnie prowadzić na pasku, szybko o mnie zapomną.

- A ty? - zapytała, przyglądając mu się uważnie. - Ciężko to przeżyjesz?

- Nie wiem. Pewnie tak. To jest nagroda branżowa, a uznanie kolegów po fachu wiele znaczy. Ale niezależnie od tego, komu ją przyznają, będzie mu się należała, a już sama nominacja to wielki

zaszczyt.

Szli jakiś czas w milczeniu. Psy goniły się i obwąchiwały kretowiska na polu, a potem wszyscy razem zaczęli wchodzić na strome zalesione zbocze.

- Myślałem, że jestem sprawniejszy. - Sam bez tchu Oparł się o drzewo. - A ty nie masz nawet zadyszki.

- Bo - roześmiała się - nie siedzę całymi dniami przy desce kreślarskiej.

- Ja też nie! Biegam po budowie, włączę na drabiny... nawet nie mam kiedy usiąść.

- Może przydałoby ci się po wynosić gnój? Od razu nabrałbyś siły.

- O, nie! - Wybuchnął śmiechem. - Już mnie na to nie naciągniesz. Nie oddałaś jeszcze ciągnika do naprawy?

Musiał zauważyć, że posmutniała, gdyż nagle zmarszczył brwi i przyjrzał się jej z namysłem.

- To aż tak cieniutko?

- A jak to sobie wyobrażasz? Przez całe cztery dni musiałam wylewać mleko, a i bez tego było krucho z forszą. Naprawdę nie stać mnie było na tę przerwę w dostawie prądu, nie mówiąc już o naprawie ciągnika. W dodatku znowu wysiadł mi samochód.

- Przyjmiesz pożyczkę? - zapytał, patrząc w ziemię.

- Nie. - Pomyślała o kredycie zaciągniętym na spłatę długów wuja Toma. - Nie będę miała jak zwrócić.

- To przyjmij te pieniądze jako podarunek. Gwałtownym ruchem

odepchnęła się od drzewa.

- Hej, Sam, co ci się stało? Nadal dręczy cię sumienie, że wpadłam do potoku?

Westchnął z irytacją i ruszył za nią.

- Zglupiałaś, czy co? Chodziło mi tylko o to, że... Nie mogę patrzeć, jak się zameczasz.

Roześmiała się gorzko.

- To jest farma, Sam. Nie zapominaj, że zawsze mogę sprzedać krowy i wrócić do tej... prostytucji. - Słyszac, że parsknął speszony, odwróciła się do niego. - Tak sobie żartował mój brat. Kiedy otrzymałam pierwszą pracę, mówił wszystkim, że zaczęłam się puszczać. Rodzice dowiedzieli się o tym od znajomych, którzy zadzwonili do nich, bo zżerała ich ciekawość, czy to prawda.

Uśmiechnął się, ale w oczach wciąż miał niepokój. Położył dłoń na jej ręce.

- Nic mi nie będzie, Sam. Nie martw się, dam sobie radę. Pod koniec zimy wszystko zawsze wygląda ponuro. Ale przyjdzie lato, nie będę musiała karmić bydła, i od razu będzie mi lżej.

Pokiwał wolno głową.

- OK, ale jeśli będziesz czegoś potrzebowała, to po prostu powiedz.

- Dziękuję - odpowiedziała ze ściśniętym gardłem i ruszyła pod górę. Była bliska płaczu, a tak łatwo byłoby się odwrócić, rzucić mu na szyję i pozwolić, żeby rozwiązał za nią jej problemy.

Jemima jednak nigdy nie szła na łatwiznę. Wspięła się więc na

sam szczyt wzgórza, spojrzała na zieleńiący krajobraz Dorset i podziękowała swoim szczęśliwym gwiazdom za to, że bez względu na wszystkie przeciwności losu, zawsze jeszcze może cieszyć się pięknem tej ziemi.

- O rany - westchnął Sam, zachwycony. - To po prostu bajka.

- Chodź tu i popatrz. Tam jest dom twoich dziadków, a tam moja farma.

Stał tuż za nią, tak blisko, że czuła delikatny zapach wody kolońskiej.

- A to wasza wioska? - Oparł rękę na jej ramieniu.

- Tak. Widać pub i kościół.

- Coś mi się przypomina. Czy przychodziliśmy tu jako dzieci?

- Bardzo często. Bawiliśmy się w lesie, a wuj Tom okropnie się denerwował, bo znikaliśmy na całe godziny.

Sam roześmiał się.

- Przypominam sobie, jak po raz pierwszy chowałem się przed dziadkiem. Zezłościł się na mnie, że wracamy za późno i dostaniesz przeze mnie burę.

- Nie pamiętam. Zresztą wuj gniewał się na mnie za spóźnienia tyle razy... Ale, właśnie. Będę musiała wracać, żeby wydoić krowy, więc powinniśmy się pospieszyć. - Gwizdnęła na psy i ruszyła z boczem w dół, a potem skróttem przez pastwisko.

U dziadków ledwie zdążyli wypić herbatę, a już musiała wracać.

- Sam mógłby cię podwieźć - zaproponował Dick. - W ten sposób starczyłoby ci czasu na drugą filiżankę.

Została chwilę dłużej, a potem Sam odwiózł ją terenowym samochodem, który był taki stary i sfatygowany, że nawet psy nie mogły mu już zaszkodzić.

- Czy po dojeniu masz jeszcze jakąś robotę?

Były dziesiątki rzeczy, którymi powinna się zająć, ale najbardziej w świecie chciała być z nim.

- Nie, chyba nie.

- To może byśmy się gdzieś wybrali? Jeśli nie chce ci się specjalnie ubierać, to wpadniemy do jakiegoś baru, ale gdybyś miała ochotę, to możemy zaszaleć w Dorchester.

Pomyślała o swojej garderobie i rękach, które niespecjalnie nadawały się do tego, żeby je pokazywać.

- Wolałabym zwykły pub - przyznała. - Mam tu tylko dżinsy i kilka spódnic z żakietami.

Roześmiali się.

- W takim razie ja też włożę dżinsy. Zobaczymy się o... O ósmej?

- Dobrze.

Wysiadła z samochodu, myśląc, że chyba oszalała, godząc się na rozwijanie tej znajomości. Sam wychylił się i spytał z uśmiechem:

- Nie jest ci przypadkiem potrzebne towarzystwo przy dojeniu?

- A co, stęskniłeś się?

- Tak, szczególnie za tym, co Daisy ma pod ogonem... Mogę zostać?

- Jak chcesz. Kalosze wuja Toma stoją w tym samym miejscu, w którym je zostawiłeś.

Jemima naląła wody do wiadra i dała jeść psom. Gdy nałożyła do żłobów kiszonkę i włączyła maszynę, Sam kręcił się w pobliżu i sprawdzał, czy wszystkie urządzenia elektryczne działają, jak należy.

- Szybciej ci teraz idzie? - zapytał.

- Trochę. Chociaż wciąż zabiera to sporo czasu. Nowocześniejsza dojarka byłaby z pewnością wydajniejsza, ale ta nam wystarczy. -

Wyprostowała się. - Czy ja w ogóle podziękowałam ci za tę naprawę?

- Możesz to zawsze zrobić jeszcze raz - wymruczał, biorąc ją w ramiona. Przesunął się, opierając ją o ścianę, tyle że ta ściana okazała się bokiem Daisy. Krowa zamuczała z dezaprobatą i odstepiła.

- Daisy, jesteś pruderyjna - pouczyła ją Jemima, a Sam zachichotał.

- Później - powiedział z błyskiem w oczach.

Jemimie mocno zabiło serce. Odwróciła się do krów i usiłowała skupić się na dojeniu, ale kiedy tak stał i patrzył na nią tymi swoimi roziskrzonymi oczami, potrafiła myśleć jedynie o wzmiankowanym „później”.

- Jak nie masz nic do roboty, to może zajmij się wynoszeniem gnoju - doradziła mu, prostując plecy.

- Co takiego? - Przymknął oczy. - Nie przypuszczałem, że mnie w to jednak wrobisz.

- W nic cię nie wrabiam. Mogę to zrobić sama, tyle że później będę bardzo zmęczona.

Spryciara! Z uśmiechem odepchnął się od ściany.

- Gdzie jest pojemnik?

- Leży na kompostniku.

Wrócił po chwili, pogwizdując, i niemal z entuzjazmem chwycił za widły.

- Tylko pomyśl, jaki to świetny trening.

- Bardzo śmieszne. Ostrzeż, proszę, Daisy. Jeśli i tym razem mnie opaskudzi, to zrobię z niej mielone kotlety.

W pubie był tłok. Wypatrzyli stolik w kącie przy kominku i zamówili ziemniaki faszerowane tuńczykiem w majonezie. Gospodarz przyniósł im jedzenie i mrugnął do Jemimy.

- Masz powodzenie, dziewczyno. Najpierw Owen, teraz ten młody człowiek... Ho, ho. - Postawił przed nimi talerze i podszedł do innego stolika.

Sam spojrzał na nią niechętnie.

- Owen? - powtórzył cicho.

Było to absurdalne, ale poczuła się winna.

- Przywiózł mnie tu we czwartek na drinka. - Miała ochotę powiedzieć mu o Jenny, ale uznała, że byłoby to trochę nie fair wobec Owena. Jednakże Sam przygasł wyraźnie i milczał. - Posłuchaj... - zaczęła. - Przyjaźnię się z nim, nic więcej. To nic nie znaczy.

- Czyżby? Bardzo mu zależało na tym, żeby się mnie pozbyć.

Westchnęła i ze złością wbiła widelec w kartofel.

- Powtarzam: to bez znaczenia. Zapomnijmy o tym.

Sam jednak najwidoczniej nie potrafił zdobyć się na wyrozumiałość. Przez cały wieczór był spięty, nieszczęśliwy i bez apetytu.

Jemima zmiotła całe swoje danie i wskazała widelcem jego odsunięty talerz.

- Skończyłeś?

Podsunał go jej i oparł głowę na dłoniach.

- Proszę - powiedział ironicznie i patrzył, jak Jemima pałaszuje resztę jego kartofli, aż jej się uszy trzęsą. - Nie mam pojęcia, gdzie się to wszystko mieści!

- Posłuchaj... Owen poprosił, żebym tu z nim przyjechała, bo...

- Nie obchodzi mnie to!

- Bo podoba mu się pewna dziewczyna, kelnerka... O, Jenny, cześć.

- Skończyliście, prawda? - powiedziała Jenny, zbierając talerze. - Zamawiacie deser?

- Ja proszę szarlotkę i krem. Sam... a ty?

- To samo. Zjesz na pewno.

Jenny parsknęła śmiechem, zrobiła do Sama oko i odeszła z talerzami.

- To ona jest tą wybranką Owena. Cały rok zbierał się na odwagę, żeby się z nią umówić. Widać wszystkie inne sposoby zawiodły, skoro poprosił mnie, żebym tu z nim przyjechała. Chciał wzbudzić w niej zazdrość. I tylko dlatego się tu znalazłam.

Sam spuścił wzrok i długo milczał.

- Przepraszam. Powinienem był pamiętać, że nawet w sądzie obowiązuje domniemanie niewinności. Normalnie nie jestem zazdrośnikiem. To Owen tak na mnie działa... albo ty. Nigdy bym nie

pomyślał, że mam tak bardzo rozwinięty instynkt posiadania. Chyba jestem bardzo zmęczony. Uśmiechnęła się.

- Nie tłumacz się. Powinna cię była uprzedzić. Gdy Jenny przyniosła szarlotkę, Sam aż westchnął.

- Jestem okropnie głodny - wyznał.

- Szkoda. Myślałam, że zjem i twoją.

- Jeszcze czego!

Psy powitały ich entuzjastycznie, rzucając się na Sama z taką radością, jakby nie widziały go od wieków. Jemima przywołała je i nastawiła wodę.

- Chcesz herbaty czy kawy?

Podniósł oczy i zobaczyła w nich pożądanie.

- Nie rób nic. Chcę tylko ciebie. Ciebie.

- Sam... - Rzuciła się w jego ramiona. - Stęskniłam się za tobą - mruknęła. - Może to głupie po jednym weekendzie, ale... no, nie wiem.

- Zgadza się. Ja też nie wiem, dlaczego tak jest, ale jest.

Ujął jej twarz i zajrzał w oczy. Czy dostrzegł w nich bezbronność, słabość i pożądanie? Czy wiedział, że po jego wyjeździe będzie płakała?

- Chodźmy do łóżka.

Powiedział to lekko schrypniętym głosem i takim tonem, że zrozumiała od razu absurdalność swoich zamiarów, by zwolnić bieg zdarzeń. Pragnęła Sama, potrzebowała, po prostu... kochała.

Wpuściła psy, dała im po kawałku ciasta i zaprowadziła Sama na

górze. Ledwie drzwi zdążyły się zamknąć, przyciągnął ją do siebie. Błyszczały mu oczy, drżały ręce. Z nią działo się dokładnie to samo.

- Sam...

- Jemima...

Ich słodkie szepty ucichły w rozpalonym do białości pocałunku. Niecierpliwie zdejmowane ubrania znalazły się na podłodze. I nagle szął minął, jakby najważniejsze było to, że mogą się tak obejmować, gdyż cała reszta dopełni się w sposób jak najbardziej naturalny.

- O, jak dobrze - szepnął ochryple, pieszcząc ją i podniecając do szaleństwa. Kiedy przerwał na moment, pomyślała, że zacznie krzyczeć, ale zaraz byli już znowu razem, zatracając się bez tchu w rozkoszy.

- Sam... - wyszeptała.

- Wiem - powiedział i w jego głosie usłyszała zachwyt i zdumienie. - Wiem, skarbie.

Objął ją i przytulił do serca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Tak sobie myślę... - Głos Sama zabrzmiał tuż przy jej uchu.
- A co? - Wtuliła się w niego mocniej.
- Tej nocy, kiedy wpadłaś do potoku... no wiesz, nie myśleliśmy wtedy zbyt logicznie. Czy jest możliwe, że zaszłaś w ciążę?

Co takiego? Święte nieba! Nie myślała wtedy wcale, a tym bardziej logicznie.

- Hm... - zastanowiła się głośno. - Nie wiem, ale chyba nie. Przyznaję, w ogóle o takiej możliwości nie pomyślałam.

Przygarnął ją do siebie.

- Ja też. Za bardzo cieszyłem się tym, że w ogóle żyjesz, żeby zastanawiać się nad czymkolwiek innym... Stosujesz jakieś środki antykoncepcyjne?

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie było potrzeby.

- W takim razie, jak sądzisz, istnieje taka możliwość? - spytał miękko i gdyby nie wiedziała, że jest inaczej, mogłaby pomyśleć, że powiedział to z nadzieją.

- Nie wiem - przyznała. Miała za dużo zajęć, żeby zajmować się sobą i śledzić swój zegar biologiczny.

- Powiesz mi?

Pomyślała, że może nosi już pod sercem dziecko Sama, i wypełniła ją jakaś niemal fizycznie odczuwana tęsknota.

- Wątpię, żebym była w ciąży - powiedziała, przypominając

sobie, że do zbliżenia doszło we wczesnych dniach cyklu. Dzisiaj to co innego; mogło się im przydarzyć, więc dobrze, że pomyślał w porę.

Odwrócił się w jej stronę, tak że mogli patrzeć sobie w oczy.

- Będę musiał niedługo jechać. Powiedziałem dziadkom, żeby się mnie prędko nie spodziewali. Wyjeżdżam zaraz po kolacji. Mam tyle spraw na głowie przed tym otwarciem, że nawet sobie nie wyobrażasz.

Już był w gorączce. Czują, że się jej wymyka.

- No, to może napijemy się jeszcze kawy? - zaproponowała, oswajając się z sytuacją.

- Mam lepszy pomysł. - Jego wargi, ciepłe, miękkie i czułe, musnęły jej usta. Przestała nagle myśleć o tym, że on wyjeżdża i po prostu starała się cieszyć tymi chwilami, które zostały, zanim porwie go wielki świat.

- Jem?

Poczuła, jak jej twarz rozświetla błogi uśmiech, i zwinęła się w fotelu przy telefonie, ściskając słuchawkę. Zadzwonił! Nareszcie.

- Cześć, Sam - rzuciła z radością.

- Wszystko w porządku?

- Radzę sobie. A co z budową? Kończycie?

- Mniej więcej... Tęsknię za tobą.

- Ja za tobą też. Wydaje mi się, jakbyś był na końcu świata.

Roześmiał się ponuro.

- Równie dobrze mógłbym być na Syberii... Słuchaj, czy jest szansa, żebyś przyjechała na otwarcie? W przyszłym tygodniu, w

piątek.

- Ja?

- Co się tak dziwisz? Pomyślałem, że może chciałyś to zobaczyć, a poza tym muszę mieć kogoś, kto mnie podtrzyma na duchu. Zapowiada się piekło i szczerze mówiąc, boję się jak jasna cholera.

- I trzeba ci kogoś, kto by cię potrzywał za rączkę?

- Powiedzmy.

- A twoi rodzice?

- Będą, ale to nie to samo. Chciałbym po prostu mieć tu ciebie.
Zastanowiła się przez moment.

- Porozmawiam z Owenem. Rękę ma wciąż w gipsie i nie jest przez to w pełni sprawny, ale przez jeden wieczór chyba poradziłby sobie z moimi krowami. W sobotę rano musiałabym być w domu.

- Odwiozę cię. Przyjechałbym po ciebie, ale w piątek po południu nie dam rady.

- Przyjadę pociągiem. To żaden problem. Muszę tylko pogadać z Owenem i twoimi dziadkami. Jeżeli zajmą się moimi zwierzętami, będę. Bardzo bym chciała.

- Świetnie... Słuchaj, muszę już lecieć. Będziemy w kontakcie.

Uważaj na siebie.

- Ty też. Do zobaczenia.

Oparła ręce na furtce, postawiła nogę na podmurówce ogrodzenia i uśmiechnęła się do Owena.

- Cześć. No, co tam z Jenny? Co działałaś? Zaśmiał się i podszedł do płotu, odkładając widły.

- Powiedziała mi, że widziała cię w pubie z Samem. Czuję, że jest tym mocno zaintrygowana.

- Też tak myślę. Nawet go troszeczkę kokietowała, żeby zrobić mi na złość.

- I co?

- Nic. - Spojrzała na niego poważnie. - Owen, chcę cię prosić o przysługę.

- Chcesz, żebym kupił krowy. Hura!

- Pomarzyć dobra rzecz, ale nie, nie. Chciałabym tylko, żebyś je wydoił. Sam jest zaangażowany w przebudowę pewnych starych budynków w Londynie. W przyszły piątek jest oficjalne otwarcie. Zająłbyś się dojeniem w piątek wieczorem i w sobotę rano? Wróciłabym w południe.

Owen podrapał się po brodzie.

- Hm, niech no pomyślę... Chyba da się zrobić. Zwłaszcza że chodzi o ciebie i że ten koleś nieźle wpadł ci w oko.

Uścisnęła go przez furtkę.

- O kury się nie martw, a krowy wyszykuję jak na bal. Nie będziesz miał dużo do roboty.

- Pomagało się kiedyś Tomowi, to i teraz nie inaczej...

- Na pewno sobie poradzisz.

- Też tak myślę... - Oparł się o furtkę i spojrzał z uwagą na Jem. -

A co zrobisz, jak cię poprosi o rękę?

Zamrugała powiekami, kompletnie zaskoczona.

- No... nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Trochę na to za wcześnie, nie uważasz? Dopiero co się poznaliśmy.

Owen wymruczał coś do siebie, pożegnali się, a zaraz potem Jemima wybrała się autobusem do Dorchester, żeby kupić sobie jakąś elegancką sukienkę. W Dorchester był taki sklepik z używanymi ubraniami, w którym można było coś kupić i po jednorazowym użyciu odsprzedać. Było to dla niej bardzo istotne, gdyż jedyne pieniądze, jakimi dysponowała, przeznaczone były na reperację ciągnika.

We wtorek przyszedł list. Był w nim bilet na pociąg do Londynu, opłacony z góry rachunek za taksówkę do Dorchester i wiadomość od sekretarki Sama, że będzie czekał na stacji. Zrobiło jej się trochę smutno, że nie napisał nic osobiście, ale późnym wieczorem zadzwonił. Telefon wyrwał ją ze snu. Zbiegła schodami i chwyciła słuchawkę.

- Halo! - rzuciła bez tchu.

- Cześć. Coś się stało? - spytał zaniepokojonym tonem.

- Nie, po prostu już spałam. Zaklął cicho.

- Przepraszam. Zapomniałem, że wcześniej się kładziesz. Dostałaś bilet?

- Tak, dziękuję. Owen i twoi dziadkowie zgodzili się mi pomóc. Ale... Sam, jak powinnam się ubrać? - spytała, myśląc ze strachem o swojej sukience.

- Bo ja wiem... W każdym razie elegancko. Najlepsza by była koktajlowa sukienka, ale właściwie wszystko jedno. Masz z tym

problem?

Pomyślała o swoim nieszczęsnym ciągniku.

- Nie, nie - skłamała.

Tak czy owak, pieniądze już wydała, sukienka była koktajlowa, a ona wyglądała w niej naprawdę ładnie. Ciekawe, czy jemu się spodoba...

- Jak żyjesz? - spytała.

- No wiesz... Jestem wypompowany. Marzę o tym, żeby było już po wszystkim i żebym mógł się wreszcie wyspać, ale goni mnie jeszcze jedna robota. A niech to... muszę kończyć. Przepraszam, że cię obudziłem, ale chciałem się upewnić, czy dostałaś ten bilet. Uważaj na siebie. No, to do piątku.

Myślała, że piątek nigdy już nie nadejdzie. Wstała jak głupia o świcie, wydoiła krowy i wygoniła je na dwór, wysprzątała oborę, dała jeść cielętom, nakarmiła kury, zebrała jajka i zaprowadziła psy do Mary i Dicka. Po powrocie wpędziła krowy do obory, zrobiła sobie szybką kąpiel, ubrała się na podróż w jeden z kostiumów i zapakowała do walizki sukienkę, rękawiczki i pantofle. Potem zeszła do kuchni, zerknęła tęsknie na bochenek chleba i spojrzała na zegarek. Nie było już czasu. Przed bramą czekała taksówka. Słyszac klakson, wybiegła z domu.

Pociąg przyjechał do Londynu bez opóźnienia i gdy wyszła ze stacji, zobaczyła Sama. Właśnie wysiadł z taksówki i machał ręką. Puściła się biegiem, wpadła w jego ramiona, a on zakręcił nią w

powietrzu.

- Ho, ho - roześmiał się, stawiając ją na nogi. - Pierwszy raz widzę cię taką wypucowaną.

Roześmiała się i dała mu lekkiego kuksańca. Uściskał ją z całych sił, wziął walizczkę i podeszli do taksówki.

- Jest okropny ruch, wolałem nie brać samochodu. Chodź, mam jeszcze masę spraw.

Taksówka przebrnęła jakoś przez straszliwie zatłoczone o tej porze dnia ulice i wjechała na dziedziniec między wysokimi budynkami z cegły. Wszędzie kręcili się ludzie. Wystawiali rośliny w donicach, rozwieszali transparenty, sprawdzali światła. Sam poprowadził ją do pełnego zieleni i powietrza holu. Owalna, przeszklona winda zawiozła ich na samą górę, a stamtąd, długim korytarzem, przeszli do jednego z budynków.

- Tutaj. - Otworzył kluczem drzwi i szarmancko przepuścił ją przodem.

Zakręciło się jej w głowie od nadmiaru przestrzeni i światła. To, co od razu rzuciło jej się w oczy, to białe ściany, jasne drewno mebli i czarne żelazne stropy pod niesamowicie wysokim sufitem. Tu i tam spostrzegła też inne świadectwa tego, czym był dawniej ten budynek: rynny w ścianie, zbiorniki, wieszaki, fragmenty jakichś maszyn. W dalszej części wnętrza podzielono na dwa piętra, połączone schodkami z drewnianą balustradą, obudowanymi szklanymi płytami. Z dołu widać było przez nie fragment piętra z drzwiami wychodzącymi na balkon. Dolna część mieszkania przeznaczona była do pracy. Na blacie

kreślarskim leżał projekt czegoś, nad czym Sam obecnie pracował, z boku zauważyła równiutki stos rysunków, do tablicy przypięte były zdjęcia. Czuło się w tym wszystkim dyscyplinę i rozmach. Trochę ją to przytłaczało.

Piętro służyło do mieszkania. Na środku stał niski stół w otoczeniu kremowych kanap. Jemima wyobraziła sobie, jak by wyglądał ten jaśniuteński zamsz, gdyby Jess zechciała położyć się na nim po spacerze, i aż przygryzła wargę. Wszystko tu było nieskazitelnie czyste i na swoim miejscu. Przestrzeń zdobiły duże, wyraziste obrazy, bez wątplenia oryginały, znakomicie dobrane i wysmakowane. Pomyślała o swojej kuchni, w której spędzili z Samem tyle godzin. Jak mógł to znieść, skoro przywykł do takiego otoczenia?

- No jak?

- Fantastycznie - powiedziała oszołomiona.

Uściskał ją.

- Muszę lecieć, ale zaraz wrócę. Kuchnia jest na dole. Poczęstuj się, czym chcesz, i zrób herbatę.

Kuchnia też była przepiękna - jasny klon, nierdzewna stal, błyszczące szkło. Pomyślała znów o swojej - z piecem, który miał pół wieku, i zrobiło jej się przykro. Nastawiła wodę i postanowiła obejrzeć resztę mieszkania.

Sypialnia Sama, jak należało się spodziewać, była schludna i urządzona bardzo prosto. Miała balkon z widokiem na Tamizę, a obok znajdowała się łazienka. Nawet w niej czuło się, że ważna jest nie tylko funkcjonalność, ale i wygląd pomieszczenia. Krany i porcelanowa

umywalka miały zaokrąglone krawędzie, a wanna była ogromna. Jemima przejrzała się w lustrze i przeszła do salonu. Przysiadła na moment na jednej z kanap i pogładziła ją czubkami palców.

Zagwizdał czajnik. Zrobiła sobie herbatę, wróciła z filiżanką na górę i stanąwszy przy drzwiach balkonowych, patrzyła na rzekę. Zapadał zmrok, ale nie było jeszcze na tyle ciemno, żeby zewsząd nie wyzierała brzydota wielkiego miasta. Dopiero później, nocą, gdy na wodzie zamrugają odbite światła, zrobi się pięknie. Dopięła herbatę, umyła filiżankę, a potem rozejrzała się za wieszakiem na sukienkę. Znalazła go w pokoju Sama, w szafie pełnej garniturów, eleganckich ubrań i drogich marynarek. Pomyślała o starej kurcie wuja Toma i łzy stanęły jej w oczach. Musiała naprawdę zgłupieć, by pomyśleć, że miała stać się dla Sama kimś więcej niż tylko przelotnym kaprysem. Miała właśnie ochotę cisnąć sukienkę do walizki i uciec, kiedy wrócił Sam.

- W porządku? - rzucił i nie czekając na to, co odpowie, wziął ją w ramiona. - Boże, jak dobrze... Tak się za tobą stęskniłem. Jest herbata w dzbanku? Roześmiała się.

- Zaparzyłam w kubku. Chcesz?

- Napiję się z rozkoszą. Od rana nie miałem czasu spokojnie usiąść. No jak, podoba ci się moje gniazdko?

- Jest piękne - powiedziała ucziwie i zrozumiała, że w tych okolicznościach nie byłaby w stanie go opuścić. Nie w tak ważnej dla niego chwili.

- No dobra, muszę tam wracać. Tak sobie myślę, że byłoby najsensowniej, gdybyś została tutaj i porządziła się po swojemu, a spotkalibyśmy się o wpół do ósmej przy wejściu.

Poczuła, że ogarnia ją panika, ale się opanowała. Była dorosła i przeżyła trudniejsze sytuacje.

- Świetnie - powiedziała z uśmiechem. Pocałował ją lekko i podniósł się z kanapy.

- Wezmę tylko prysznic, ubiorę się, a potem będziesz miała pokój i łazienkę wyłącznie do swojej dyspozycji.

Pół godziny później pojawił się, niesamowicie elegancki w wieczorowym garniturze i śnieżnobiałej koszuli. Jedyнным niedopieczonym elementem jego stroju był pognieciony krawat.

- Umiałabyś coś z tym zrobić? - spytał z irytacją. Odłożyła ilustrowany magazyn, skrywając uśmiech.

- Może i bym umiała. Masz żelazko?

Wymruczał coś mało sympatycznego i znowu zniknął. Poszła za nim do kuchni. Wyciągnął właśnie z jednej z szafek składaną deskę do prasowania. Żelazko było już włączone. Wyregulowała temperaturę na właściwą dla jedwabiu i odczekała chwilę, wygładzając zagniecenia. Sam tymczasem wyraźnie się gorączkował. Spoglądał to na żelazko, to na zegarek, bębnił palcami o czarny blat. Uśmiechnęła się do niego.

- Nie panikuj.

- Jak mam nie panikować? Za pięć minut powinienem być na dole, a wiązanie tego parszywca trwa wieki.

- Bzdury mówisz... Chusteczka.

- Pytasz, czy mam, czy też chcesz wydmuchać nos? Westchnęła i wyciągnęła rękę. Podał jej złożoną we czworo chustkę. Zwilżyła ją i uprasowała przez nią krawat.

- Podejź. - Spojrzał na nią niezbyt chętnie, ale nie dała się zbić z tropu. Ona jedyna w całej rodzinie miała przywilej wiązania krawata ojcu, bardzo często też ozdabiała tak swoje bluzki, miała więc w tej dziedzinie niezłą praktykę. - Stój spokojnie - zakomenderowała i paroma zręcznymi ruchami zawiązała mu krawat.

- To wszystko? - powiedział sceptycznie.

- Wszystko. - Uśmiechnęła się. - No, leć. Powodzenia.

- Dziękuję. - Ujął jej twarz w dłonie, pocałował ją mocno w usta i puścił, wyraźnie się ociągając.

- Leć, mówię.

Uśmiechnął się, ale wiedziała, że ma niezłego pietra. Spodziewał się, że rozstrzygnięcie w sprawie nagrody nastąpi w tygodniu, lecz nie otrzymał żadnych wiadomości. Czują, iż go to dodatkowo denerwuje i pomyślała sobie, że takie życie to przekleństwo. Ale może tak to wyglądało jedynie z jej perspektywy.

Przygotowała sobie kąpiel i rozkoszowała się wspaniałą wanną, poddając się cudownym masującym bąbelkom i biczom wodnym. Czas gonił, więc umyła włosy, wytarła je do sucha ręcznikiem, nałożyła makijaż i zaczęła się ubierać. Włożyła czerwoną bieliznę - tę samą, która nie tak dawno powiewała na kijach przy szosie - ale na razie nie wkładała pończoch z obawy, że zniszczy je szorstkimi rękami, a potem wcisnęła się w sukienkę, podciągnęła zameczek i przejrzała się w

lustrze. Włosy całkiem już wyschły. Kręciły się same i miały piękny połysk. Były tak gęste i splątane, że rozczesując je, aż mrugała z bólu.

Potem skoncentrowała się na swoich rękach. Hm... Stanowiły wiernie świadectwo jej obecnego trybu życia, ale przynajmniej zeszły z nich najbrzydsze ranki. Nałożyła grubo krem, poczekała, aż się wchłonie, i włożyła rękawiczki. Ona i rękawiczki! Śmieszne! Jedyną znaną jej osobą, która korzystała z rękawiczek tej długości, był weterynarz.

O matko! Co ze zwierzętami? Może zatelefonować do Owena? Zganiła się za tę myśl, bo gdyby nawet działa się coś złego, to i tak nie mogłaby temu zaradzić. Naciągnęła pończochy i wstała, żeby zobaczyć, jak wygląda.

Nieźle. Nawet podobała się sobie. Ciekawe, co powie Sam. Raptem poczuła, że nie ma cierpliwości czekać dłużej i postanowiła już zejść na dół. Upewniła się, czy wzięła wszystko, i miała już wyjść, gdy zadzwonił telefon. Odebrał automat z głośnikiem. Posłuchała przez chwilę, na wypadek gdyby wiadomość okazała się ważna, i jak bomba wypadła z mieszkania. Przeklęta winda jechała za wolno. Wskoczyła z niej i co tchu popędziła przez dziedziniec.

W foyer zatrzymał ją umundurowany strażnik i poprosił o okazanie karty wstępu. Popatrzyła na niego pustym wzrokiem i westchnęła.

- Nie mam żadnej karty. Jestem tu z Samem Bradleyem. Strażnik uśmiechnął się.

- Ładna sztuczka, madame. Wszyscy goście pana Bradleya

posiadają karty.

- Możliwe, ale ja nie mam.

- Najwyraźniej.

Wzniosła oczy do nieba, z trudem opanowując złość.

- Bardzo pana proszę... idę prosto z jego mieszkania...

powiedział, że będzie tu na mnie czekał o wpół do ósmej.

- Jest dopiero dziesięć po siódmej, madame. Jeśli to, co pani mówi, jest prawdą, proponowałbym poczekać tutaj.

- A nie mógłby go pan poszukać? Strażnik pokręcił głową.

- Przykro mi, madame. Pan Bradley jest teraz zajęty. Nie mogę mu przeszkadzać.

- Ale ja muszę z nim porozmawiać. Koniecznie teraz... Sam! - zawołała, spostrzegając go w tłumie zebranych w sali za ogromnymi drzwiami.

Sam odwrócił głowę, pomachał do niej i szybko podszedł.

Uściskał ją i przyjrzał się jej z zachwytem.

- Wyglądasz fantastycznie. Chodź, muszę cię poznać z masą ludzi.

Nie dając jej dojść do słowa, pociągnął ją do sali i zaczął przedstawiać członkom swego zespołu, realizatorom projektu i wielu innym osobom, których nazwiska natychmiast zapominała. Usiłowała mu przerwać, ale jej wysiłki były daremne, a gdy wydawało się, że już, już pojawia się szansa na rozmowę w cztery oczy, ktoś do nich podchodził.

Pociągnęła go za rękaw.

- Sam, musimy porozmawiać.
- Później. - Odwrócił się, żeby się przywitać z jakimiś dygnitarzami. Westchnęła, sfrustrowana, zastanawiając się, jak go podejść.

- Ma pan coś do pisania? - zapytała kogoś z zespołu Sama i dostała długopis.

Nie bawiąc się w dalsze wyjaśnienia, opuściła lewą rękawiczkę, napisała coś na ręce i podsunęła ją Samowi pod nos. Spojrzał, ściągnął lekko brwi i zdziwiony odwrócił się do niej, przerywając rozmowę z jakimś nieco pompatycznym oficjelem.

- Nie rozumiem - powiedział cicho.
- Sam! Gdy wychodziłam z mieszkania, zadzwonił telefon. Dostałeś nagrodę!

- Słucham? - Krew odpłynęła mu z twarzy, był zszokowany. - Co takiego!

- Jury konkursu właśnie zakończyło obrady. Chcieli cię powiadomić, bo wiedzieli, że masz dziś otwarcie. Mówili, że usiłowali się połączyć z kimś z twojego zespołu... z Carol, nie pamiętam już... Carter?

- Cartwright - powiedział powoli i w jego oczach błysnęła radość.
- Rany boskie! Udało się nam, udało... Wygraliśmy!

- Moje gratulacje. - Wspięła się na palce i leciutko pocałowała go w usta. Ze śmiechem porwał ją w ramiona i zakręcił nią w powietrzu, a kiedy wreszcie pozwolił jej stanąć, spostrzegła, że stojący tuż obok dygnitarze mają cokolwiek zaskoczone miny.

- Wybaczcie mi, panowie - zwrócił się do nich, rozkładając ręce.
- Właśnie się dowiedziałem, że nasz zespół dostał nagrodę.

Zawiadomiono mnie o tym telefonicznie.

Rozległy się huraganowe oklaski, Samowi zaczęto składać gratulacje i w tym właśnie momencie w sali pojawili się jego rodzice - a przynajmniej tak się domyślała. Mężczyzna był już niemłody, ale podobieństwo między nim a Samem było uderzające, kobieta zaś miała jego oczy i uśmiech.

- Dobra robota! - gratulował ojciec, ściskając Samowi dłoń, ale matka wyjęła z torebki chusteczkę i powiedziała, żeby stał spokojnie.

- Masz szminkę na policzku. - Starła ją i objęła syna, nie ukrywając dłużej, jaka jest z niego dumna.

Jemima roześmiała się, usiłując sobie przypomnieć, czy jej tusz do rzęs jest wodoodporny.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bardzo długo nie mieli potem okazji ze sobą porozmawiać. Wiadomość o nagrodzie rozeszła się lotem błyskawicy i cały tłum ludzi rzucił się gratulować Samowi. Jemima stała u jego boku, odpowiadała, gdy ktoś coś do niej mówił, i rozglądała się po fascynująco zaprojektowanej sali teatralnej. Już sobie wyobrażała, jaką popularnością będzie się cieszyło to miejsce. Marzyła o tym, żeby obejrzeć pozostałe pomieszczenia i w ogóle wszystko, co zaprojektował, ale na razie nie było to możliwe. Trwał koktajl. Gdy o ósmej rozpoczęła się część oficjalna, miała wrażenie, że od perlistych śmiechów i głośnych żartów dosłownie pęknie jej głowa.

Sama wraz ze wszystkimi ważnymi i nieważnymi dygnitarzami wyklaskano na podium. Ktoś ważny mówił o historycznym znaczeniu zakładów, przedstawiał dzieje starego browaru i zakres rekonstrukcji wprowadzanych przez Sama i jego zespół. Następnie wystąpił przewodniczący zarządu dzielnicy.

- Szanowni państwo. Uznając, że byłoby pięknie wejść w nowe tysiąclecie z czymś, co będzie dla naszej dzielnicy autentycznie znaczącym osiągnięciem, zdecydowaliśmy się na konkurs o charakterze międzynarodowym. W odpowiedzi na naszą ofertę napłynęło bardzo dużo zgłoszeń, w tym również projekt Sama Bradleya. Sam Bradley jest młodym i jeszcze mało znanym architektem, toteż stanowił dla nas pewne ryzyko - chociaż złożony

przez niego wstępny projekt zrobił od razu duże wrażenie. Zresztą nie tylko sam projekt, ale również profesjonalizm autora i gotowość do przystąpienia do jego realizacji.

Zespół Sama Bradleya wygrał w eliminacjach ze znakomitymi konkurentami z całego świata. Szczerze mówiąc, jego sukces przerósł nasze oczekiwania i pozwólcie, że to powiem, bo sam się pewnie nie pochwali. Otóż dziś wieczorem pan Bradley dowiedział się, że za ten projekt otrzymał nagrodę specjalną Krajowego Centrum Projektantów. Jesteśmy z tego dumni. Przyjmij nasze gratulacje, Sam. Panie i panowie, oddaję głos Samowi Bradleyowi.

Wybuchły oklaski i okrzyki. Sam podniósł się, uśmiechnął czarująco i pomachał do zebranych, i jedynie Jemima i może jego rodzice zdawali sobie sprawę z tego, jaki jest zdenerwowany. Odnalazł ją wzrokiem, a wtedy dumna do nieprzytomności dodała mu spojrzeniem odwagi. Mrugnął leciuteńko i przeniósł wzrok na zebranych.

- Z całego serca dziękuję - powiedział, uśmiechając się - choć, szczerze mówiąc, to wszystko przyszło tak łatwo. Nasz projekt był śmiały. Nie wiedzieliśmy, czy damy radę go zrealizować, ale teraz, spoglądając na efekty naszej pracy, mam świadomość, że wymyśliliśmy to nieźle. Przez cały czas obawiałem się o to, czy dotrzymamy terminu, ale bogowie widać trzymali naszą stronę... no, może poza kilkoma demonkami, które usiłowały to i owo popsuć...

Pozwolił, by przez tłum przebiegł lekki szmerek, po czym z uśmiechem mówił dalej:

- Nagroda Krajowego Centrum Projektantów to wielki zaszczyt. W imieniu własnym i zespołu dziękuję. Chciałbym również podziękować tym wszystkim, którzy dołożyli wszelkich starań, by mogło dojść do realizacji naszego przedsięwzięcia. Mam nadzieję, że będzie ono dobrze i długo służyło dzielnicy. Dziękuję państwu za zaufanie.

Odpowiedziały mu burzliwe oklaski, a po chwili przewodniczący zarządu wstał, kończąc część oficjalną. Oznajmił, że w galerii na piętrze znajduje się wystawa dokumentująca przebudowę starego browaru, i zaprosił wszystkich na kolację serwowaną w restauracji obok.

Jemima stała w podekscytowanym, wesołym tłumie. Czowała się wyizolowana, nikomu niepotrzebna i czekała tylko na to, aż wreszcie znajdzie ją Sam. Trwało to bardzo długo. Otaczał go rój urodziwych i błyskających biżuterią kobiet i ich mężów, ludzi sukcesu, gromady tych wszystkich cmokierów i snobów, ludzi, których znał i którzy go znali lub chcieli poznać, zwłaszcza dziś. Podszedł wreszcie, wziął ją za rękę i nie przestając się przedstawiać podążającym za nim osobom, kierował się z nią w stronę restauracji.

- Jeśli się nie mylę - powiedział serdecznie w momencie względnego spokoju - jesteś na mnie zła.

Uśmiechnęła się spłoszona.

- Skąd wiesz?

Roześmiał się i ścisnął ją za rękę.

- Spoko. Chodźmy coś zjeść.

Nie było to jednak takie proste. Zaczepiano ich co chwila i nie mogła wyjść z podziwu, jak przyjaźnie i dowcipnie Sam potrafi sobie radzić z nagabującymi go ludźmi. Wreszcie znaleźli się w restauracji. Zdążyła zmieść wszystko ze swego talerza, nim Samowi pozwolono skubnąć choć kęsek. Zerknął na jej pusty talerz i podsunął swój. Zjadła wszystko, przysłuchując się rozmowie, jaką prowadził ze swą kolejną potencjalną klientką.

- Powinien pan wpaść i zobaczyć nasz dom. Jest bardzo ładny, ale przebudowa wymaga ręki prawdziwego mistrza - kokietowała go bez żenady.

Jemima chętnie wydrapałaby jej oczy, lecz Sam roześmiał się, powiedział, że jest zbyt łaskawa i wręczył jej wizytówkę, prosząc o kontakt.

Korzystając z chwili spokoju, nałożył sobie kawałek ryby i już, już podnosił go do ust, gdy ktoś klepnął go w plecy. Ość zadrapała mu wargę, westchnął, odłożył widelec, odwrócił się i zaczął znowu dowcipkować i rozmawiać, gdy tymczasem Jem szukała mu czegoś bezpieczniejszego do zjedzenia. Wreszcie i jego cierpliwość wyczerpała się.

- Zjemy później. Chodź, pokażę ci wystawę.

Pociągnął ją za sobą, rozdając po drodze wizytówki, i usiłował opowiedzieć jej coś o samej wystawie, ale było to beznadziejne.

- Zobaczysz to kiedy indziej, jak nikogo nie będzie - sarknął zniecierpliwiony.

- I co teraz? - spytała, gdy zeszli na dół.

- Pójdziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli побыć sami.
- Może do toalety? Zachichotał cicho.
- Chodźmy do sali teatralnej. Na scenie gra zespół, światła będą przyćmione. Jest szansa, że przez pewien czas nikt nie odkryje, że ja to ja, a nawet jeśli, to przynajmniej zatańczymy.

- Nie wiedziałam, że lubisz tańczyć.
- Lubię cię trzymać w ramionach, a tu inaczej się nie da. Na parkiecie tańczyło sporo par. Kołysząc się w rytm melodii, czuła jego mocne uda i plecy. Obejmował ją tak ciasno, że sukienka gniotła się, ale... nieważne! Była podniecona, on też, cała reszta się nie liczyła. Myślała wyłącznie o tym, kiedy wreszcie będą mogli umknąć wszystkim na dobre.

- Sam! To tu się chowasz! Och, ty...
Jęknął cicho w jej włosy i odsunął się lekko, obracając ją tak, by go sobą osłaniała.

- Nie ruszaj się - wymruczał, prawie nie otwierając ust, i nagle nad jej ramieniem potoczyła się dyplomatyczna rozmówka o wszystkim i o niczym.

W pewnej chwili zespół zaczął grać jakiś bezwstydnie sentymentalny kawałek.

- Proszę wybaczyć - rzekł z uśmiechem Sam i poprowadził ją w tłum tańczących.

Poruszał się pięknie, genialnie dostosowując się do jej rytmu albo to ona tak się weń wtopiła. Tańczyli tak, jakby to robili od lat, i w pewnym momencie poczuła, że z każdym wspólnym poruszeniem robi

się jej coraz goręcej, coraz...

- Chodźmy stąd - szepnął tak samo podniecony.

Przedzierali się przez tłum, unikając jak tylko się dało prób wciągnięcia ich do rozmowy, aż w końcu w foyer dosłownie zderzyli się z rodzicami Sama.

- A, jesteś - ucieszył się ojciec. - Zastanawiamy się, gdzie przepadłeś. Dałoby się gdzieś razem wypić w spokoju kawę?

Jemima zamarła. No to klops, pomyślała. Byli bez szans. A może...

- Wybacz, tato... - powiedział Sam ze szczerym uśmiechem. - Jemima wstała o czwartej rano, ja w ostatnim tygodniu spałem przeciętnie trzy godziny na dobę, i prawdę mówiąc, padamy z nóg. Wpadnę do was jutro. Przepraszam.

Rodzice popatrzyli to na jedno, to na drugie i tylko się uśmiechnęli.

- W porządku, syneczku, prześpij się - powiedziała pani Bradley tak znaczącym tonem, że Jemima zaczerwieniła się po korzonki włosów. Matka Sama uszczypnęła ją leciutko w rozplomieniony policzek, powiedziała, że dobrze byłoby się wkrótce spotkać, no i byli wreszcie wolni.

Ominęli tłum przy windzie i pobiegli klatką schodową na górę. Kiedy wpadli do mieszkania, Sam pchnął drzwi i oparł się o nie plecami.

- Zwycięstwo! - wychrypiał, przyciągając ją do siebie. - Uciekliśmy! Czuję się jak na wagarach.

Pogroziła mu czule palcem.

- Ale rodziców nie powinienes kiwać.

- Dlaczego? Jem, chciałem być tylko z tobą. Pociemniały mu oczy, uśmiech zgasł. Leciutko musnął wargami jej usta i to wystarczyło, żeby z iskry wybuchł pożar.

Garnitur Sama, podobnie jak jej sukienka, był cały w białych włoskach z wełnianego dywanu. Podniosła ubrania, otrzepała je i powiesiła na krześle, a potem wciągnęła figi, zarzuciła na siebie jego koszulę i poszła nastawić czajnik. Była piąta trzydzieści, pora dojenia.

Sam spał i nie miała nic do roboty, wyszła więc na balkon i odetchnęła głęboko. Powietrze jednak wydało jej się ciężkie, czuła w nim smog. Słyszała ruch uliczny, dzwonienie klaksonów, dudnienie pociągu, gwizd z komina stateczku płynącego Tamizą - i raptem ogarnęła ją niesamowita tęsknota za krowami, drobiem, psami i ptakami śpiewającymi za oknem.

Sam był tu u siebie, ale ten świat był jej teraz całko wicie obcy. Zresztą wtedy, gdy mieszkała w Londynie, też. Zadrżała i weszła z powrotem do pokoju. Zamknęła balkon i odwracając się, zobaczyła, że Sam przygląda się jej ze schodów.

- Stęskniłem się za tobą - powiedział z poranną chrypką.

- Budzę się, a tu ciebie nie ma.

Jak co dzień, pomyślała smutno.

- Pora dojenia.

Objął ją i zmarszczył brwi.

- Zmarzłaś, wracaj do łóżka. Zrobiłem herbatę.

Uśmiechnęła się, żeby ukryć swój smutek. Podparł ją górą poduszek, wszedł pod kołdrę i podał jej filiżankę.

- Dzień dobry. - Pocałował ją w usta.

Jaki tam dobry, pomyślała, ale tego nie powiedziała. Wypiła herbatę i westchnęła z rozkoszą.

- Tego mi było trzeba. Mogę jeszcze?

- Za moment. - Odstawił filiżankę i przygarnął ją do siebie. -
Dziękuję, że byłaś wczoraj ze mną. Naprawdę miałem stracha.

Powiodł palcem po jej ręce, po słowach: DOSTAŁEŚ
NAGRODĘ, które wypisała wczoraj. Przesunęła się, żeby popatrzeć
mu w twarz.

- Czy powiedziałam ci, że jestem z ciebie dumna?

- Coś tam mówiłaś, ale chętnie usłyszę to jeszcze raz - powiedział
wesoło.

Położyła dłoń na jego nie ogolonym policzku. Boże, jak ja będę
tęsknić! - pomyślała.

- Jemima, kocham cię - powiedział nagle. - I w ogóle wydaje mi
się, że ta miłość trwa we mnie od dzieciństwa. Kocham cię jak nigdy
nikogo. Gdybyś odeszła, straciłbym coś najcenniejszego w życiu.

Nigdy nikt nie wywoływał we mnie takich myśli.

- Sam... - szepnęła ze łzami w oczach. - Ja też bardzo cię kocham.

- Wyjdiesz za mnie?

- Czy to w ogóle możliwe? - zaszlochała. - Pomyśl, mam farmę...

- Owen kupi krowy.

- Tak, ale nie w tym rzecz. Wyniosłam się z Londynu, bo go nienawidzę. Ten weekend tylko mnie w tym utwierdził. To nie mój świat.

- Możemy się przeprowadzić. Nie musimy mieszkać tutaj, jeśli to miejsce ci się nie podoba.

- Bardzo mi się podoba - i mieszkanie, i w ogóle cały ten kompleks. Masz z czego być dumny, naprawdę. Ale mnie chodzi o ludzi. Tutaj wszyscy gonią za ułudą. Chcą być piękni, młodzi, bogaci... no wiesz. Nienawidzę tego. To takie fałszywe. Nie ma tu nikogo takiego jak Owen czy twoi dziadkowie, na których zawsze można liczyć w potrzebie. Tutaj ludzie są za bardzo zajęci sobą, żeby zauważać innych.

- Chyba przesadzasz. Mam wielu przyjaciół, na których mogę polegać.

- Ja też, ale nie tu. I zawsze tak będzie.

Powiódł palcami po jej twarzy, zmarkotniały i trochę zagubiony.

- Jemima, ja cię kocham.

- Ja ciebie też, ale to nie wystarczy.

- Wystarczy.

- Nie. Wiem, że nie. Zapominasz, że całe lata zajmowałam się sprawami ludzi, którzy nie byli w stanie żyć ze sobą, chociaż się kochali. I w końcu tę swoją miłość zabili. Przykro mi, Sam, ale nie mogę. Nie mogę wyjść za ciebie i mieszkać tutaj. Nie byłabym sobą i prędko byś się do mnie zniechęcił. Nie zniosłabym tego.

- Zawsze będę cię pragnął. - Zamknął oczy i przygarnął ją mocno

do siebie. - Przemyśl to jeszcze - powiedział przygaszony. - Nie spiesz się.

- Nie chodzi o to, że się spieszę, ale...

- Nic nie mów. Nie teraz. - Objął jej piersi i poszukał ust. -

Kocham cię...

Jemimę ogarnęła rozpacz. Cokolwiek by powiedział, wiedziała, że są ze sobą po raz ostatni. Kochali się niemal w milczeniu, a pod koniec nie potrafiłaby powiedzieć, czy to ona płakała, czy też policzki ma mokre od łez Sama.

Parę godzin później wiozł ją do domu, znów prawie w milczeniu. Słowami mogli się tylko ranić, więc nie rozmawiali. Gdy brał jej rękę i kładł ją sobie na udzie, walczyła ze łzami, próbując nie myśleć o tym, że go traci. Po przyjeździe na miejsce zapytała, czy nie wszedłby na herbatę. Odmówił. Prawie ją to ucieszyło, gdyż nie zniosłaby dłuższego pożegnania. Odprowadził ją do drzwi, wstawił do sieni walizeczkę i popatrzył Jem w oczy.

- Nic nie mów - wymruczał. - Przemyśl to, co ci powiedziałem.

Nie musielibyśmy mieszkać akurat tam.

Zwiesiła głowę.

- Nie, Sam, nie wrócę do Londynu. Przykro mi bardzo, ale nie mogę. - Dotknęła jego policzka. - Kocham cię, ale...

- Ale nie na tyle, żeby...

- Należymy teraz do zbyt odległych światów, a ja nie jestem w stanie wrócić. Zrobiłam kiedyś w tył zwrot i jestem już kimś innym.

Nie znaczy to, że cię nie kocham, że nie uważam, że jesteś wspaniały, że... - Nie zdołała powstrzymać cisnących się jej do oczu łez.

Z ciężkim westchnieniem przytulił ją do piersi.

- Przestań - wydusił z wściekłością i szybko odszedł, ale raptem odwrócił się, porwał ją w ramiona i pocałował z rozpaczą. Potem szybko cofnął się i prawie biegiem wrócił do samochodu.

- Sam! Do widzenia! - zawołała za nim, lecz jej słowa utonęły w pisku opon. Oparła się o framugę i nasłuchiwała, aż w końcu samochodu nie było już słychać.

Nagle na ścieżce zachręściły ciężkie kroki. Zamrugła, strzepując łzy, zobaczyła drogą, znajomą twarz Owena i znowu świat rozmazał się jej w oczach.

- O matko! To aż tak? - powiedział cicho. Rzuciła mu się na szyję, szlochając.

Sam jechał przed siebie, ale gdyby go zapytać, dokąd i po co, nie umiałby odpowiedzieć. W pewnym momencie zawrócił i nie wiedząc kiedy znalazł się przed domkiem dziadków. Babcia wyszła na ganek, otrzepała ręce z mąki, popatrzyła na niego bez słowa, wpuściła go i usadziła w kuchni.

- Dostaliśmy tę nagrodę - odezwał się martwym głosem.

- Wiem, mama telefonowała. Moje gratulacje... ale nie to mi chciałeś powiedzieć, prawda?

- Prawda. - Straszliwie zdołowany, oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. - Zrobiłem coś głupiego.

Babcia Mary nastawiła czajnik. Słyszał, jak się krząta, odkręca kran i otwiera puszkę z herbatą. Znajome dźwięki koły go. Podsunęła mu filiżankę. Otworzył oczy.

- Poprosiłem Jemimę o rękę.

Babcia nie odezwała się i poczuł, że w gardle rośnie mu wielka gula, która zaraz go zadusi.

- Powiedziała: nie.

Miał ogromną ochotę położyć głowę na jej kolanach i rozplakać się. Przycisnął dłonie do twarzy i odczekał, aż mu się wyrówna oddech. Babcia patrzyła na niego ze współczuciem.

- Na miłość boską - warknął. - Nie lituj się nade mną.

- Zgoda. O ile się nie mylę, problem polega na tym, że gdzie indziej mieszkacie... w innych środowiskach.

Kiwnął głową.

- A ona, naturalnie, nie chce się przenieść do Londynu.

Nienawidziła miasta. Kiedy tu przyjechała, była cała nieszczęśliwa. Lepiej jej z krowami i kurami niż tam.

Jeszcze raz kiwnął smutno głową.

- I co zamierzasz? Wzruszył ramionami.

- Spróbuję żyć bez niej. Co innego mogę zrobić?

- I dasz się zjeść rozpaczy? Przecież już wyglądasz jak śmierć...

Zapał się nagle w siebie i dopiero po chwili poczuł, że leży z twarzą ukrytą w czymś ciepłym i miękkim, a ręka babki gładzi go serdecznie po głowie. I zaczął płakać jak dziecko.

Mijał tydzień za tygodniem. Jemima czuła się zmęczona, przygnębiona pogodą i rozstaniem z Samem. Wyganiała krowy na pastwisko, choć trawa dopiero wschodziła. Było to niemądre i w przyszłości będzie tego pewnie żałować, ale była za słaba, żeby wynosić gnój, i za biedna, żeby oddać ciągnik do naprawy. Mając to wszystko na uwadze, pojechała do Dorchester, żeby zwrócić sukienkę. Udało się jej też sprzedać jeden z kostiumików. Poczwała się bogata, więc weszła do kawiarenki na kawę i ciastko, lecz nagle ją zemdliło. Szybko wybiegła na dwór i poszła do parku. Usiadła na ławce, popatrzyła na swoje zniszczone od pracy ręce i zaczęła liczyć na palcach.

Pięć, a dokładnie pięć i pół tygodnia temu wpadła do potoku. Trzy tygodnie temu widziała się z Samem. Od ostatniej miesiączki minęło mniej więcej siedem tygodni.

Weszła do apteki i kupiła test ciążowy. W domu przez dwie godziny zwlekała, ale kiedy wreszcie się zdecydowała na użycie go, załomotało jej serce. Paseczek zrobił się niebieski. Była w ciąży. Rosło w niej dziecko Sama, za około siedem miesięcy miała zostać matką. Usiadła na krześle w kuchni i patrzyła tępo na paseczek, nie mogąc się zdobyć na jego wyrzucenie.

Leżąca na schodkach ganku Jess warknęła groźnie i zaczęła szczeleć. Jemima domyśliła się od razu - szedł Owen.

- Cześć - zawołała przez drzwi. - Jess, do nogi!
- Co słyhać? - mruknał.
- W porządku. Jak ręka? Wyprostował ją i skrzywił się.
- Myślałem, że jak mi zdejmą gips, to od razu będzie OK, ale

jeszcze trochę boli. Przeworsowałam ją, oczywiście... Widzę, że puszczasz krowy na dwór...

- Tak. Za dużo przy nich roboty, zwłaszcza jak się nie ma ciągnika.

Nastawił czajnik i usiadł naprzeciw niej, bawiąc się leżącym na stole pudełeczkiem.

- A nie sprzedałabyś mi ich w prezencie ślubnym?

- Nie... Co? Owen, co ja słyszę? Och, ty cicha wodo! Gratuluję! - Zerwała się z krzesła, żeby go uściskać. Jess zawarczała spod pieca. - Zamknij się, Jess! - roześmiała się Jemima. - Owen żeni się, ale nie ze mną.

Suka ucichła, a Owen, zaczerwieniony, zaczął opowiadać.

- Wygląda na to, że Jenny upatrzyła mnie sobie już dawno, tylko nie chciała się do tego przyznać. Kiedy zaprosiłem ją na randkę, powiedziała „nie” dla kaprysu. Myślała, że poproszę ją jeszcze raz.

- Ale ty tego nie zrobiłeś.

- Głupie, nie? Przez cały rok chodziłem tylko często do pubu, zagadywałem do niej i tak się trochę poznaliśmy.

- A teraz poprosiłeś ją o rękę i odpowiedziała: tak? Kiwnął głową.

- Kocham ją - wyznał zmieszany i spuścił wzrok wprost na pudełeczko, które obracał w palcach.

Jemima zaczerwieniła się. Wyrwała mu je, ale zdążył przeczytać napis.

- Ani mru, mru! - Pogroziła mu palcem.

- Sam?

- Pewnie, że Sam. A któż by inny?

- Ja tam nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Wy miastowi traktujecie te sprawy rozmaicie.

- Ja nie jestem miastowa!

- Nie? No to przepraszam. Chociaż przysięgłbym, że byłaś. Pamiętam, jak przyjechałaś tym swoim śmiesznym samochodzikiem.

- To było wtedy. A teraz jest teraz. Nie nadaję się już do życia w mieście. Chyba zresztą nigdy się nie nadawałam. Zrobiła herbatę i usiadła, a Owen wsypał sobie górę cukru, zamieształ i spojrzał na nią poważnie.

- No i co z tym fantem zrobisz?

- Mówisz o dziecku?! Urodzę.

- I będziesz je tu chować?

- Tak... To znaczy... Nie wiem - dodała po chwili. - Oj, Owen, chyba nie dam rady. Chodzi o to, że bez krów nie zdołam zwrócić kredytu, który musiałam zaciągnąć, żeby spłacić długi wuja Toma, a jeśli wróciłabym do zawodu, to co zrobię z tym wszystkim? - Popatrzyła w okno. Farma, krowy, drób, ziemia - wszystko to wymagało starania, a praca w mieście dawała regularne pieniądze. - Chyba będę musiała wrócić do pracy.

- Nie bierzesz pod uwagę wyjścia za mąż za Sama? Pokręciła głową.

- Nie, jeśliby to miało oznaczać ślub z połową Londynu. Owen! Szkoda, że nie widziałeś tych ludzi. Zachowują się tak, jakby był ich

własnością. On sobie z tym jakoś radzi. Ja nie potrafię.

- A musiałybyś? Wzruszyła ramionami.

- Sam ma przepiękne mieszkanie. Pracuje w nim. Dziecko by tam nie pasowało. Przeszkadzałoby, brudziło, spadało ze schodów... Nie, to nie miałyby szans powodzenia. - Dopija herbatę i spojrzała na swego sąsiada znad kubka. - Nadal masz ochotę kupić stadko krów w prezencie ślubnym dla Jenny?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sam miał mnóstwo pracy. Nigdy w życiu, nawet w końcowej fazie robót przy browarze, nie był taki załatany, ale bardzo mu to odpowiadało. Nie znosił samotnego przebywania w domu, bo ilekroć stanął w drzwiach balkonu, siadał na kanapie czy kładł się spać, myślał o Jemimie.

Nie wyobrażał sobie, że utrata kogoś może spowodować taką zapaść, pozbawić najpiękniejszy dzień barwy, a najzabawniejszy film śmieszności. Muzyka dobijała go. Bał się wejść do sklepu, bo zewsząd dobiegały melodie, przy których tańczyli. Nie sprawiała mu przyjemności nawet muzyka klasyczna.

Spędzał czas głównie w samochodzie. Projekt, którym się obecnie zajmował, nie wymagał od niego takiego zaangażowania, jak przebudowa starego browaru i zostawiał czas na realizację

drobniejszych zamówień. Po otrzymaniu nagrody dostał ich mnóstwo. Kilka z nich, jak na ironię, dotyczyło domów zlokalizowanych na północny zachód od Londynu - w Surrey, Hampshire, Wiltshire, a jedno nawet pochodziło z rejonu Dorset. Jechał więc, zjadał lunch z klientem, wsiadał do samochodu i gnał na kolację z kolejnym.

Wreszcie, jak można się było spodziewać, ktoś zapytał go o Jemimę.

- Już się nie widzimy - odparł lakonicznie. Z rodzicami szło mu trudniej, gdyż zamartwiali się o niego i mówili, że wygląda okropnie.

Wyglądał rzeczywiście upiornie. Unikał lustra, a jeśli już musiał z niego skorzystać, nie był w stanie spojrzeć sobie w oczy. Na ich dnie było coś zranionego, coś, z czym sobie nie radził, wołał więc w nie nie patrzeć. Pracował, póki nie zaczynały mu opadać powieki, a potem kładł się do łóżka, usiłując nie przypominać sobie Jemimy, jej delikatnego dotyku i czułości.

Pewnego dnia, jakieś pięć tygodni po otwarciu przebudowanego browaru, zadzwoniła do niego jedna z dawnych klientek.

- Sam? Witaj, kochanie. Mówi Moya. Chciałabym, żebyś wpadł i żebyśmy jeszcze raz przejrzyli projekt. Zmieniliśmy decyzję w sprawie ogrodu na dachu. Tak sobie myślimy, czy nie dałoby się... Ojej, ciężko to wytłumaczyć. Możesz przyjechać?

Ze złości aż przygryzł wargę. Moya Kennedy była trudną klientką. Ciągle zmieniała decyzje, a poza tym, jako kobieta była niesamowicie rozkapryszona.

- Jasne - zgodził się z udanym entuzjazmem. - Kiedy?

- Możesz dziś?

Zajrzał do terminarza. Był umówiony w Londynie na jedenastą, a potem na trzecią. Planował, że między jednym a drugim spotkaniem pójdzie do fryzjera i przejdzie się spacerkiem obejrzeć jeszcze inne zamówienie, na którym mu zależało, ale...

- Co byś powiedziała, gdybym wpadł na przykład za kwadrans pierwsza?

- Świetnie, zjesz u mnie lunch. Jesteś uroczy. Uroczy. Dobrze sobie. Pojechał do pierwszego klienta, miał trudności z zaparkowaniem i ledwie uniknął mandatu. Zresztą wcale mu ta robota nie pasowała. Nie zgadzał się z klientem i odmówił wprowadzenia do projektu zmian. Klientowi bardzo się to nie podobało. Wychodząc od niego, wiedział, że ma z głowy zamówienia w tej części Hampstead. Pał sześć! I bez tego był zavalony pracą.

Podjechał do domu Moyi Kennedy, zaparkował na podwójnej żółtej linii i wszedł, myśląc złośliwie, że mandat za parkowanie doliczy sobie do rachunku.

- Sam, mój miły, bardzo proszę.

Zaskoczony, wstrzymał się w pół kroku. Moya była ubrana - jeśli w ogóle dało się to tak określić - w kusy szlafroczek, pod którym, jak podejrzewał, nie miała prawie nic. W fantazyjnie ułożone włosy włożyła ciemne okulary. Wydawało mu się, że dostrzegł siwy włos. Misterne pasemka kryły ich pewnie więcej.

Wszedł do holu, a Moya zabrała ze stolika tacę z ciasteczkami i wprowadziła go schodami do pokoju pod dachem.

- Pojemy trochę przy przeglądaniu rysunków - powiedziała. - Tak

będzie szybciej.

- Dobra myśl - ucieszył się Sam. - Jestem dzisiaj mocno zajęty.

W czym rzecz?

- Jest kilka szczegółów, które chcielibyśmy zmienić. Ciepłarnia miała być tam, ale pomyśleliśmy, że może... Masz, tutaj są projekty. Rob napisał ci parę uwag, ale musiał wyjechać i zostawił mnie samiuteńka. Zerknij na to, a ja tylko coś na siebie narzucę. Przyłapałeś mnie, kotku, na opalaniu. Zaraz wracam, zjedz ciasteczko...

Postawiła tacę na łóżku, dotknęła jego ręki i zniknęła w łazience.

Przejrzał kartki rozrzucone na łóżku i siedząc na brzegu, zastanowił się nad zmianami. W gruncie rzeczy nie było wśród nich nic ważnego - nic, czego nie mogliby mu na przykład przefaksować. Zrobiłbym to od ręki, pomyślał zirytowany, gdy raptem Moya wyłoniła się z łazienki, ubrana jeszcze bardziej skąpo niż przedtem.

- Moya... - Zacisnął powieki.

- Sam, chodź, użyjmy sobie trochę. Rob wyjechał, nic nam nie grozi. - Pociągnęła go za krawat.

- Nie, Moya. - Przytrzymał ją za rękę i podniósł się.

- Tak nie można. Nie chcę tego. Nie psuj naszych układów.

Znamy się tyle lat, nie niszczy tego.

- Nie niszczy? Sam! Co ty mówisz?! Ja cię kocham. - Wzięła go za rękę, drugą kładąc mu na piersi. - Rob jest już do niczego. Nie może... no wiesz - Przesunęła ręką w dół.

- Sam, proszę, pragnę cię.

Zrobiło mu się nagle strasznie żal Roba, który nie mógł, i Moi,

która tak by tego chciała. Popatrzył w jej chabrowe oczy. Miała kontaktowe soczewki? Prawdopodobnie. Uwięził jej dłoń.

- Moya, przepraszam, ale nic z tego nie będzie.

- Nie podobam ci się? Hej, spójrz na mnie. Co ci się we mnie nie podoba?

Obróciła się powoli i to, co zobaczył, nappełniło go smutkiem. Starzała się - powoli i całkiem ładnie, lecz wszystkie efekty były już tylko wynikiem walki o młodość. Była opalona - niezdrowe to co prawda, ale tak nakazuje moda - i szczupła. Gdyby nie sztucznie ujędrniony biust, mogła się wydawać chuda. Przypomniało mu się to, co ktoś kiedyś powiedział, że kobieta nigdy nie jest za bujna ani za chuda.

Nie zgadzał się z tym. Moya była właśnie za chuda. Kobieta w jej wieku powinna mieć zaokrąglone kształty i żywy błysk w oczach, a nie silikonowe implanty i rozpacz wyzierającą zza soczewek.

- Przepraszam cię, Moya - powtórzył i pocałował ją w policzek.

- A co z projektem? - chlipnęła histerycznie.

- Przefaksujcie mi uwagi - powiedział, odwrócił się na pięcie i zbiegł na dół.

Wyszedł na ulicę, akurat w chwili gdy straż miejska spisywała jego samochód.

- Proszę pani, ja nie mam czasu - rzucił do strażniczki. - Zapłacę czekiem grzywnę i puśćcie mnie.

- Niestety, tak się nie da. Musi pan pojechać z nami na policję.

Tam odbierze pan samochód. Dokumenty są już przygotowane.

Korciło go, żeby powiedzieć tej służbistej babie, co może zrobić z tymi papierami, ale nie polepszyłyby to sytuacji. Zaciął więc zęby, pojechał z kierowcą, który wziął jego bmw na lawetę, i zapłacił mandat na komendzie. Kiedy wszystko pozalał, było już po trzeciej, a to znaczyło, że stracił klienta, z którym był umówiony. Natomiast w domu, na automatycznej sekretarce, znalazł wiadomość od kolegi, a właściwie dawnego klienta. Mike mówił, że szuka w Londynie luksusowego mieszkania do wynajęcia i pytał, czy kolega o takim nie słyszał. Najbardziej odpowiadałoby mu podobne do jego.

Sam przebiegł w myślach wydarzenia całego tego wrednego dnia, nalał sobie whisky i oddzwonił do Mike'a.

- Niestety, nic mi się nie przypomina. Takie jak moje jest tylko jedno, a to nie jest na sprzedaż.

- Zapłacę, ile zażadasz.

- Na przykład? No, strzelaj.

Mike wymienił taką sumę, że Sam o mało nie Zakrztusił się whisky.

- Bądźmy w kontakcie - powiedział i odłożył słuchawkę.

Londyn zaczynał mu działać na nerwy i nie po raz pierwszy pomyślał, że być może Jemima miała rację. Gdyby sprzedał Mike'owi mieszkanie za wspomnianą kwotę, byłby w stanie kupić domek w Dorset, gdzieś blisko niej, przebudowałby część na studio i projektowałby w domu. Nie musiałaby mieszkać w Londynie ani rozstawać się ze swymi umiłowanymi krowami, a kiedy poznałby się lepiej, może zgodziłaby się wyjść za niego.

Dopił whisky, wypełnił jakieś niezbędne papierzyska i poszedł spać, a z samego rana skontaktował się telefonicznie z kilkoma agencjami nieruchomości w Dorchester, prosząc o przesłanie mu ofert z okolicy. Zaraz potem musiał jechać do Kent na spotkanie z kimś, kto miał ochotę przebudować suszarnię chmielu na dom mieszkalny. Po szczegółowej rozmowie wiedział, że może przystąpić do pracy nad wstępnym projektem. W drodze do domu zawadził o jeszcze jednego klienta. Wrócił późno, zamówił jedzenie przez telefon, posilił się przy desce kreślarskiej i po północy poszedł spać.

Rano miał już wyjść, gdy przyszła poczta, a w niej oferty biur sprzedaży nieruchomości. Zerknął na zegarek, rozciął szybko koperty i nagle aż przysiadł na schodku. Farma Puddleduck?! Upewnił się jeszcze, gorączkowo szukając dokładnych danych, i poderwał się na nogi. Podbiegł do telefonu i wykręcił numer dziadków.

- Babcia? Słuchaj, co się dzieje z Jemimą?

- Miałam dziś do ciebie dzwonić... Hm... Szczerze mówiąc, nie wiem, jak ci to powiedzieć.

- Normalnie.

- Co ona u diabła wyprawia?!

- Wystawiła farmę na sprzedaż, a krowy daje Owenowi w prezencie ślubnym.

- Co takiego?! - Poczul, że krew odpływa mu z twarzy, a serce zamienia się w sopel lodu. - Owenowi? Stockdale'owi?

- Może lepiej, żebyś przyjechał i sam z nią pogadał, jeśli nadal ci na niej zależy.

- Nie wygląda najlepiej.
- Ja też nie wyglądam kwitnąco. Do cholery, dlaczego mnie wcześniej nie powiadomiłaś?
- Dopiero się dowiedziałam i... nie klnij może, dobrze?
- Przepraszam.
- No więc jak? Przyjeżdżasz?
- Jasne.
- Świetnie. - Powiedziała to takim tonem, że najchętniej by ją udusił. - Przygotuję ci spanie. Będziesz jeszcze dziś?

Pomyślał o umówionych spotkaniach i westchnął ciężko.

- Tak. Do zobaczenia.

Odwiesił słuchawkę, wrzucił trochę rzeczy do nesesera i zbiegł do samochodu. W Dorset, ignorując większość ograniczeń szybkości, był za dwie godziny. Pod farmą Puddleduck znalazł się o dziesiątej. Jemima właśnie wyganiała krowy.

- Sam... - powiedziała, czując, że blednie.

- Chcę z tobą pomówić. - Chwycił ją mocno za rękę i zaciągnął do kuchni. Noodle i Jess obskoczyły go radośnie. Poklepał je obojętnie. Jemima roztarła rękę.

- Nie używaj wobec mnie siły, Sam. Nie lubię tego.

- Przepraszam. - Rzucił ofertę sprzedaży farmy na stół.

Westchnęła cicho. Niezupełnie tego po nim oczekiwała, ale od czegoś musieli zacząć.

- Co to wszystko ma znaczyć?! - rzucił z wściekłością. - Babka

mówi, że wychodzisz za Owena i dajesz mu krowy wuja Toma, a w dodatku przysłali mi z agencji nieruchomości namiar na twoją farmę.

Patrzyła na niego i słuchała. Wśród wszystkich tych przekłamań ważna była tylko jedna wiadomość. Otrzymał z agencji jej ofertę. Ale dlaczego? Czyżby myślał o przeprowadzce? Nadzieja zaświtała jej w sercu. Oparła się o zlew i skrzyżowała ręce.

- Owen jest dla mnie bardzo dobry - zaczęła.

- Dobry?! Jego interesuje wyłącznie bydło i twoje ciało. A co z umysłem, Jemima? Nie zastanowiłaś się nad tym?

- Z umysłem? - parsknęła rozzłoszczona. - Od kiedy ciebie interesuje mój umysł? O ile pamiętam, ciało wystarczało ci w zupełności.

- Przynajmniej wiem, co z nim robić. A on? No, jak ci z nim jest? Śpiewa ci krew w żyłach? Masz wrażenie, że ziemia usuwa ci się spod nóg? A może to ten jego żółty ciągnik tak cię podnieca?

Zachichotała. Nie potrafiła się powstrzymać, ale chociaż zrobiła to bardzo cichutko, Sam wpadł w szal.

- Jemima, do jasnej cholery! Nie śmiej się, bo nie wytrzymam. Wiem, miałaś powody, żeby się ze mnie nabijać, ale tym razem sytuacja jest poważna. Nie zgadzam się, żebyś wyszła za tego woła. Nie ma mowy! Oczywiście, ten półmózg nie podstawiłby się pod krowi ogon, jak dobry, stary Sam, ani nie spadłby z dachu przy zrzucaniu śniegu, bo ma do tego tę swoją debilną zabaweczkę. Ale ja mogę kupić sprzęt. Mogę ci kupić nowy ciągnik. A trzymaj sobie te swoje krowy, skoro tak je kochasz. Mogę zrobić dla ciebie dokładnie to samo, co

Owen, a nawet więcej, bo ja cię, Jemimo, Kocham, a on nie! Zerknęła na stół.

- No a dlaczego w ogóle zainteresowałeś się tymi ofertami?

- Dlatego, że jak jakiś przygłup myślałem, że przeprowadzę się gdzieś w pobliże i że może zmienisz zdanie.

Spojrzała na swoje spierzchnięte, poranione ręce. Jest nadzieja, że niedługo już takie nie będą.

- Nie zmienię - powiedziała łagodnie. - Nie potrafię żyć w Londynie.

- Ale po co wychodzisz za Owena? Tylko po to, żeby zrobić mi na złość?

- Uważasz, że mogłabym tak postąpić? Westchnął ciężko i przegarnął rękami włosy.

- Nie wiem. Zaczynam myśleć, że nie znam cię tak dobrze, jak mi się wydawało.

Uznała, że pora już przestać go dręczyć.

- Sam... ja nie wychodzę za Owena.

- Co?! - Powoli uniósł głowę.

- Nie wychodzę za Owena.

- Ale... babcia powiedziała, że Stockdale bierze twoje krowy i że to prezent ślubny.

- No... tak jakby. Owen żeni się z Jenny. Poczzerwieniał na twarzy.

- Czy moja babka o tym wie?

- Tak sędzę.

- I mimo to pozwoliła mi myśleć, że... A niech ją! - Ze złością odwrócił się do okna. - No dobrze... Nie wychodzisz za Owena. W takim razie dlaczego oddajesz mu krowy? Wydawało mi się, że je uwielbiasz, a tu raptem bez żalu ofiarowujesz je temu...

- Nie bez żalu - sprostowała. - Będę za nimi tęskniła.

- Co? Nawet za Daisy? Uśmiechnęła się.

- Za nią też.

- Ale dlaczego to wszystko robisz? Jem... Są twoją dumą.

Pokręciła głową.

- Były dumą i radością wuja Toma i dzięki nim mogłam się utrzymać po jego śmierci, ale... Jest mi teraz ciężko. - Opuściła ręce i zaplotła je na brzuchu, tam gdzie rosnęło dziecko. Ich dziecko. - Jestem w ciąży.

Podniósł głowę i utkwiał w niej oczy.

- Co takiego?!

- Będę miała dziecko. Wszystko to sprzedaję po to, żeby przenieść się do Berkshire i być blisko ciebie. Pomyślałam, że gdybyśmy mieszkali niedaleko, to może mógłbyś dojeżdżać albo dzielilibyśmy się opieką nad dzieckiem.

- To moje dziecko?

- Pewnie, że twoje. - Uśmiechnęła się, patrząc w jego pełne niedowierzania oczy. - A myślałeś, że czyje?

Wzruszył ramionami i przełknął ślinę.

- Owena? Roześmiała się w głos.

- Jenny chyba by mnie zabiła, a poza tym, jak ci mówiłam, Owen

nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Leciutko drgnęły mu usta.

- Nawet ze swoim odblaskowym ciągnikiem?

- Nawet. - Zaśmiała się i nagle spoważniała. - Kocham cię, Sam.

Pragnę być blisko ciebie, ale chcę też pozostać sobą, a nie kimś, kim musiałabym się stać w Londynie.

- Nie myśl już o tym. Ja też nienawidzę tego miasta.

Przedwczoraj straż zabrała mi samochód za to, że zaparkowałem nie tam, gdzie trzeba, i musiałem słono zapłacić, żeby mi go oddali. -

Wyciągnął do niej rękę. - Wyjdź za mnie, Jem. Dom można przebudować. Zrobię sobie studio i będę tu pracował.

Rozejrzała się dookoła.

- Ale... Sam! Tutaj jest obrzydliwie. Nie będziesz chciał tak żyć.

Masz piękne mieszkanie...

- Mam, ale ktoś złożył mi propozycję nie do odrzucenia.

- Sprzedałbyś je?

- Oczywiście. Czemu nie?

- Bo... Nie wiem. To twoje wszystko.

- Nie. - Delikatnie położył rękę na jej brzuchu. - Wy jesteście moim wszystkim. Reszta to tylko cegły i cement.

Ze łzami w oczach rzuciła się w jego ramiona.

EPILOG

Od ślubu minął rok. Był piękny kwietniowy dzień, przygrzewało słońce. Goście, którzy złożyli im wizytę z okazji otwarcia studia, powoli opuszczali dom. Obejmując Jemimę, Sam żegnał się uściskiem dłoni z przyjaciółmi oraz starymi i nowymi klientami.

- Nic lepszego nie mogło cię spotkać, kochany. Jestem pewna, że będzie się wam wspaniale wiodło. - Babcia Mary objęła go na pożegnanie. Uścisnęła ją, uradowany jej aprobatą jak sztubak.

Maleństwo na rękach Jemimy zakwiliło. Sam przeniósł dziewczyneczkę na swoje ramię i poklepał po plecach. Usnęła po chwili, a Jemima odwróciła się do niego uśmiechnięta. Wyglądała przepięknie - było od niej zdrowie i szczęście, a w dawnych zabudowaniach gospodarczych było wszystko, o czym marzył on. W niegdysiejszej oborze mieściła się pracownia. W rogu stała odnowiona, dumnie teraz połyskująca maszyna na korbkę. Z rzędu okien widać było dolinę, którą tak lubił. Inne zabudowania przerobione zostały na pawiloniki, z których wynajmowania w okresie wakacji Jemima mogła mieć własne dochody. Wreszcie był to prawdziwy dom. Oboje bardzo go kochali.

Owen i Jenny żegnali się z nimi jako ostatni. Owen trzymał w ramionach maleństwo i przyjemnie było na nich patrzeć. Stanowili naprawdę dobraną parę. Sam i Jemima pomachali im i szybko wrócili do kuchni.

- Herbaty? - zaproponowała. Zrzuciła pantofle i zakręciła się przy nowej kuchence.

- Później. Mam dla ciebie niespodziankę. Ale najpierw połóż małą.

Jemima roześmiała się domyślnie.

- Dobrze, żeby nikt nam nie przeszkadzał, co?

- Tym razem - uśmiechnął się - nie w tym rzecz. Chodź.

Śmieszne, ale czuł się lekko podenerwowany. Nigdy dotąd nie pokazywał nikomu tego rodzaju prac i nie miał pewności, czy się jej to spodoba.

- Spójrz - powiedział zmieszany, gdy trzymając się za rękę, weszli do sypialni. - O, tam.

Na ścianie nad komodą wisiał rysunek piórkiem. Podeszła bliżej i nagle zaczęła się śmiać.

- Ojej, to nasza farma! - krzyknęła z zachwytem, rozpoznając oborę. - A tutaj ty, jak upadasz z urwaną korbą... Ojejku, a tu, jak opaskudziła cię Daisy! Och, Sara... to jest fantastyczne! Tu spadasz z dachu, ojej, i wynosisz gnój, nosisz wodę... A tu ja, jak doję... Czy to Bluebell, jak wywróciła wiadro? - Odwróciła się i gorąco go uściskała.

- Wspaniała rzecz! Kto ci to narysował? Jest dokładnie tak, jak było, jakby ten ktoś nas widział.

Sam zaczerwienił się lekko. Zmrużyła oczy.

- Ejże... Czy to twoje dzieło?

Niepewnie kiwnął głową. Objęła go uszczęśliwiona.

- Och, ty... Nie wiedziałam, że umiesz rysować.

- Jestem architektem.

- Wiem, oczywiście. - Puściła go i odwróciła się do rysunku. -

Ale to, to jest coś innego. To po prostu sztuka... Nie narysowałeś tylko mnie, jak wpadłam do potoku. Spoważniał.

- Wiem. Zrobiłem to celowo... nie chcę sobie tego przypominać.

Myślałem wtedy, że cię stracę.

- A skończyło się na tym, że mamy córkę.

- Dzięki Bogu - westchnął z uśmiechem. - Nie mogę po prostu uwierzyć, że wszystko ułożyło się, jak powinno. Czasem aż się muszę uszczypnąć...

- Ale to prawda, ostateczna i jedyna. Jesteśmy tu i będziemy.

- Kocham cię - powiedział poważnie. - Nigdy o tym nie zapominaj. W minionym roku może czasem trudno ci było ze mną wytrzymać... Wiesz, ile miałem roboty z tą przebudową... Pewnie nie mówiłem ci tego tak często, jak powinienem, ale wierz mi... Kocham cię z całej duszy.

Ścisnęło ją w gardle.

- Wiem. Ja też cię Kocham... Poza tym wcale nie byłeś taki nieznośny.

- Byłem. Na przykład wtedy, kiedy się okazało, że kuchenka nie daje się wpasować.

Roześmiała się i objęła dłonią jego twarz.

- A tak, rzeczywiście, wtedy troszeczkę przesadziłeś. - Wspięła się na palce i pocałowała go tklíwie. - Bardzo jesteś zajęty? - wymruczała.

- Niespecjalnie. A co, masz jakąś propozycję?

Uśmiechnęła się przekornie. Jakie to szczęście, że życie jej go dało.

- Szkoda tracić czas, kiedy mała śpi. Przygarnął ją do siebie i pocałował leciutko.

- Wszystkiego najlepszego, pani Bradley. To nasza pierwsza rocznica.

- Tak, kochanie - szepnęła w odpowiedzi i odwzajemniła pocałunek.

Mijały godziny, a oni wciąż jeszcze nie mogli się nacieszyć swoim szczęściem. Wiedzieli, że będą razem teraz, jutro i... do końca świata.